Myśl Polska

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU

POLISH THOUGHT—FORTNIGHTLY REVIEW

Nr 58 15 listopada, 1943 Cena (Price) 1/-

NIEBEZPIECZNE OBJAWY

Z TROSKĄ i niepokojem obserwujemy stan ducha w jakim znajdują się ludzie z tzw. sfer rządowych. Nieumiejętność przewidywania politycznego, zmęczenie wojną, poczucie winy i właściwa znacznej części Polaków nerwowość w myśleniu, składają się razem u tych ludzi na nastrój iście emigracyjny. Dziś podnieceni perspektywą cudu, jutro zgnębieni brakiem cudów w polityce, oglądają się wciąż na rzeczy mogące przyjść z zewnątrz, nieświadomi roli jaką by mogli sami odegrać. Nastrój ten pogarsza się z każdym miesiącem i zdarza się czasem słyszeć rzeczy, których człowiek opanowany i rozsądny nie myśli ani tymbardziej nie mówi.

Niewielu zdaje sobie sprawę, że tego rodzaju nastroje są właśnie uleganiem nieprzyjaznej propagandzie. Propaganda ta świadomie zmierza do wywołania terroru przez wyolbrzymianie własnych możliwości i osiągnięć i zajmowanie stanowiska jaknajbardziej złowieszczego. Ludzie speszeni są jej nieświadomymi narzędziami.

Odtrutką na tę propagandę nie jest w żadnej mierze urzędowy optymizm, polegający na wynajdowaniu we wszystkim tzw. dobrych stron i nieudolnym powtarzaniu taktyki Felicjana Składkowskiego z jego "byczo jest". Z tej postawy przebija podły minimalizm, który tylko pogłębić może depresję u słabszych charakterów urzędniczych.

Obóz narodowy nie ponosi odpowiedzialności za błędną politykę rządów powrześniowych. Przeciwnie, nie podzielał żadnych złudzeń, przewidywał trafnie i walczył z tymi posunięciami, które okazały się tak brzemienne w złowrogie następstwa. I dlatego właśnie, że przewidywaliśmy niebezpieczeństwa, dziś nie przerażają nas one ani nie zaskakują. Nie jest dla nas żadną niespodzianką polityka prowadzona przez wielkie mocarstwa. Ale jeśli układa się ona dla nas niepomyślnie, to można to było przewidzieć i trzeba się było zabezpieczyć. Tego nie umiano zrobić. Ludzie winni zaniedbania szukają dziś wobec siebie samych usprawiedliwienia w swoistym fatalizmie: "Taka nasza dola, nie można było nic więcej zrobić!". Stanowisko takie jest ze wszech miar szkodliwe. Nieprawda! Można było wiele zrobić, tylkoście nie umieli. I można będzie niejedno naprawić, tylko rząd obecny nie potrafi tego zrobić, będzie brnął z jednej fałszywej pozycji w drugą.

Nieporadność i słabość przebijająca w nastrojach od góry do dołu systemu rządowego musi być przerwana w imię dobra narodu. Nie wolno się przyglądać biernie rozkładowi intelektualnemu i moralnemu. Używamy tu słowa rozkład, mimo że jest ono i silne i przykre, zupełnie świadomie, ponieważ niestety odpowiada ono rzeczywistości. Rozkładem jest nietylko demoralizacja w zwykłym tego słowa znaczeniu, rozkładem jest także umysłowa starość, trącące myszką wstecznictwo. Spazmatyczne usiłowania powrotu do stosunków z lat dwudziestych i patrzenie na świat oczami ludzi dziewiętnastowiecznych to także rozkład.

Kto zawszasu w pełmi doceniał niebezpieczeństwa, może spokojnie spojrzeć im w twarz i trzeźwo ocenić ich rozmiary. Może także dojrzeć ich granice i szukać dróg wyjścia. W naszym położeniu przypomnieć trzeba kilka prawd, o których nie mówią propagandy wojenne, obliczone na bezpośredni efekt i krótki dystans.

Pierwszą z nich jest, że, chociaż wojnę można wygrać ostatnim pozostałym na placu batalionem, pokoju nie można zorganizować wbrew woli większości ludności Europy. A Europa składa się nietylko z Niemiec, Rosji i p. Benesza. Składa się ona z mnóstwa realnych sił, które wejdą w grę jeszcze przed końcem wojny i z którymi wszyscy liczyć się będą.

Drugą jest prawda o zasadniczej różnicy między wschodem a zachodem. W cywilizacjach wschodnich liczy się tylko siła, pojęcie zobowiązania nie istnieje i poczucie przyzwoitości także nie. Natomiast w cywilizacji zachodniej obowiązuje słowo. Człowiek zachodu interpretuje, jak może, na swoją korzyść, zobowiązania, ale ich nie łamie brutalnie. Człowiek wschodu nie ma wogóle zobowiązań, zna tylko przymus. Stąd zobowiązania są na zachodzie rzeczą istotną. Szczególnie zaś istotna jest umiejętność walki o prawa wynikające z zobowiązań. Na zachodzie po kontrahencie spodziewa się lojalności ale i bezwzględności w dochodzeniu uprawnień.

Trzecią prawdą jest zasada ryzyka. Naród polski znajduje się w takim położeniu, że nie może pozwolić sobie na prowadzenie polityki ostrożnie zachowawczej, jak wielkie, bogate i bezpieczne państwa. Cała ta wojna jest z naszego punktu widzenia polityką wielkiego ryzyka i nadal musimy ją w duchu wielkiego ryzyka prowadzić. Polityka wielkiego narodu nie polega na załatwianiu tego, co dojrzało do tego stopnia do załatwienia, nie budzi już wątpliwości co do sposobu załatwienia, lecz na pobieraniu decyzji wcześniej od innych, decyzji, które stwarzają fakty polityki międzynarodowej. Nie wolno się bać samodzielności, ani nawet chwilowego czy pozornego osamotnienia, jeśli się ma przygotowany następny krok.

Wreszcie czwartą, ostatnią i najważniejszą sprawą jest wiara we własny naród, wiara w to, że potrafi on znieść największe nawet zniszczenie bez załamania moralnego i że potrafi się bardzo szybko odrodzić fizycznie, a zarazem wiara w to, że potrafi on zrozumieć decyzje istotne dla swego bytu i zdolny jest wprowadzić je w życie mądrze i konsekwentnie. Ta wiara rodzi z kolei wiarę w moralne prawa własnego narodu i siłę do walki o nie. Zupełnie inaczej walczy człowiek w pełni przeświadczony o świętości swych praw, a inaczej sceptycznie do świata ustosunkowany gabinetowy Hamlet, czy mały kupiec idei i wpływów. Inaczej walczy człowiek mający poczucie, że za jego plecami stoi masa wiernych towarzyszy, a inaczej człowiek, który musi dopiero skupiać i skupywać zwolenników swej polityki.

Te, z konieczności, bardzo ogólne uwagi służyć mają jednemu celowi: wykazaniu, że niebezpieczne i szkodliwe objawy nastrojowe są zupełnie powierzchowne. Są one chorobą woli wynikającą z braku należytej wiary i woli u góry.

Tym niemniej z objawami tymi należy walczyć na każdym kroku: A walczyć trzeba w jeden sposób: przez przepajanie ludzi tą niezłomną wiarą, jaką mają narodowcy w zwycięski dla Polski pod każdym względem koniec wojny i w rolę Polski w jej ostatnim okresie. Nie jest to wiara ślepa, na jej usługi stoi szereg argumentów rzeczowych, a nie najmniejszym z nich jest wykazywanie błędów naszej polityki urzędowej w przeszłości i w chwili obecnej. Błędy te winny być nauką jak uniknąć dalszych szkód i jak naprawić to, co jeszcze jest do naprawienia.

Będzie to krucjata wiary i rozumu przeciwko słabości umysłu i charakteru.

Nasza nawa państwowa, wskutek nieudolnego sterowania znalazła się wśród niebezpiecznych raf. Nie starczy zdać się na los wiatrów i prądów morskich, trzeba je przewidzieć i wykorzystać.

POD ZNAKIEM MOSKWY

WYNIKI Konferencji Moskiewskiej stanowią fakt historyczny, jesli nie z punktu widzenia historii świata, to w każdym razie z punktu widzenia historii Polski. Tylko trzy istotnie ważne daty znaczą dla nas dzieje polityczne tej wojny: odrzucenie w marcu 1939 propozycji niemieckich wspólnej wyprawy na Rosję, którego to odrzucenia konsekwencją był wybuch wojny; zawarcie w lipcu 1941 paktu z Sowietami, w tej postaci jak go zawarto; i decyzje Konferencji Moskiewskiej z listopada 1943.

Na innym miejscu omawiamy szczegółowo teksty oficjalne moskiewskie, to co w nich już jest i czego nie ma. Znaczenie postanowień moskiewskich ujawni się w pełni dopiero za jakiś czas. Już wszakże obecnie zarysowują się z niej takie dla Polski konsekwencje, że przemilczenie ich jest niemożliwe dla ludzi, którzy podjęli się pisania po polsku.

Oczywiście w Moskwie nie przesądzono formalnie niczego o zasadach przyszłego pokoju, postanowienia dotyczą tylko prowadzenia wojny. Prowadzenie wojny rozciąga sie wszakże na okres po rozejmie i na nie dający sie przewidzieć czas działań wojennych na poszczególnych obszarach. Parę lat okupacji jakiegoś terenu, przy nowoczesnych środkach technicznych, może go zmienić nie do poznania. Wyobraźmy sobie tylko naprzykład coby nastąpilo, gdyby przez parę lat wojska, dajmy na to, amerykańskie okupowaly Niemcy a wojska, powiedzmy, sowieckie Polskę. Jakaby była przyszlość Europy po ustaniu tych okupacji.

Po raz pierwszy w dziejach zadecydowano o Europie bez udziału narodów europejskich. Jest w tym ogromna odpowiedzialność rządu polskiego nietylko wobec Polski ale i wobec Europy. Polska była w 1941 jedynym sojusznikiem Wielkiej Brytanii, jest od początku jedynym państwem kontynentu walczącym z Niemcami nieprzerwanie. Na niej spoczywa obowiązek reprezentowania Europy po tej stronie frontu, po stronie prawa i cywilizacji. Tej roli, trudnej i odpowiedzialnej, rząd polski, niestety, spełnić nie umiał. Nie umiał nawet obronić minimum praw własnego narodu. Pakt lipcowy ułatwił robotę wszystkim czynnikom nieprzychylnym Polsce, utrudnił tym, ktore jej sprzyjały. A potym szły błędy za błędami, aż do Konferencji Moskiewskiej.

W poczuciu niesłychanej odpowiedzialności, ciążącej na naszym pokoleniu, i rzeczywistego niebezpieczeństwa dla naszego bytu narodowego wstrzymujemy się od dalszych wniosków i oświetleń, oczekując akcji rządu polskiego — po raz ostatni. Jeśli nie dowiemy sie o wyraźnych formalnych gwarancjach, o nowych zmieniających położenie faktach, będziemy zmuszeni do sprawy powrocić na innej płaszczyznie.

NOTY I UWAGI

PO KONFERENCJI

KONFERENCJA Moskiewska była jakby wstępnym zebranłem Konferencji Pokojowej, której ostateczne formy i przebieg ani nie są jeszcze znane ani nie mogą być z jakąś dokładnością przepowiedziane. Być może nawet, że nie odbędzie się nic podobnego do Konferencji Wersalskiej, t.zn. że nie będzie wyraźnego rozgraniczenia między okresem *działań* wojennych i następnym okresem *obrad*. Tym bardziej więc ważne są postanowienia Konferencji Moskiewskiej.

Z zewnętrznych cech tej konferencji na plan pierwszy wybijają się dwie: miejsce jej spotkania i skład jej uczestników. Moskwa jest stolicą mocarstwa, które nie tylko walczy z t.zw. "nowym porządkiem" niemieckim w Europie, ale które chce samo wprowadzić w Europie inny "nowy porządek", wedle swego rozumienia i swoich zamiarów. Moskwa nie chce dopuścić w Europie "porządku niemieckiego", ale Moskwa nie uznaje także "porządku wersalskiego". I dlatego już samo odbycie konferencji w Moskwie wskazuje m.i. na to, że Związek Sowiecki dąży do wprowadzenia w Europie na miejsce "porządku wersalskiego" — "porządku moskiewskiego". Tyle o tym na razie, nim na innym miejscu spróbujemy wywnioskować, jak wedle projektodawców ma wyglądać ten nowy "porządek moskiewski".

Co się tyczy składu, to Konferencja Moskiewska zebrała ministrów Spraw Zagranicznych trzech mocarstw wojujących z Niemcami, pominęła zaś całkowicie przedstawicieli właściwych państw europejskich, — nawet tych, które pierwsze walkę z Niemcami zaczęły jeszcze wtedy, kiedy jedno z mocarstw w Moskwie reprezentowanych było w tej walce neutralne, drugie zaś nawet z agresją hitlerowską współdziałało.

Pod tym względem więc Konferencja Moskiewska przypomina Wersalską tylko o tyle, że i w Wersalu w ogólnej nazwie *Mocarstwa Sprzymierzone i Stowarzyszone* wyróżniono w dokumentach oficjalnych pięć mocarstw nazwą *Główne Mocarstwa Sprzymierzone i Stowarzyszone* i w ręce ich przedstawicieli złożono wszystkie główne decyzje. Wszystkie jednak decyzje dotyczące państw nieobjętych nazwą *Główne Mocarstwa* pobierano łącznie z tymi państwami zainteresowanymi, nieograniczając się nawet tylko do zasięgania opinii, lecz przeważnie dzieląc się również z nimi udziałem w decyzji. W ten sposób więc naocznie nam w Moskwie pokazano, w jakim kierunku pójdzie wpływ moskiewski na regulację spraw powojennych. Można przypuszczać, że carska Rosja podobnie byłaby się zachowała w Wersalu, i stąd można snuć wnioski, o ile posunęła się "demokratyzacja" Rosji i jej polityki od czasów rewolucji. Nie ulega bowiem kwestii że główną cechą demokracji jest załatwianie spraw przez samych zainteresowanych, a już co najmniej zawsze przy ich udziale. Jeżeli więc linia rozwojowa demokracji światowej znaczy się w swoim biegu nazwami: Wersal — Moskwa, to doprawdy powstaje pytanie, po co ten cały hałas dookoła demokracji.

KOMISJA I RADA

Te same cechy można zaobserwować w postanowieniach Konferencji Moskiewskiej. Z ciał przez nią powołanych najważniejsze jest określone nazwą *Europejskiej Komisji Doradczej*. Niestety, powinna ona dla ścisłości nazywać się raczej *Wspólną Komisją Doradczą Trzech Mocarstw dla ich Spraw Europejskich*, gdyż tylko te trzy Mocarstwa uczestniczące w Moskiewskiej Konferencji mają być w tej Komisji reprezentowane. Wedle tego, jak sprawy wyglądają dotychczas, nie tylko decyzje o Europie mają zapadać wyłącznie w gronie Trzech Mocarstw, ale i opinie ma wydawać Komisja złożona wyłącznie z ich przedstawicieli. Jest to najzupełniej jasne w świetle tekstu Protokołu czy Komunikatu, zredagowanego wspólnie w Moskwie. Protokół ten zupełnie nie porusza kwestii, czy ewentualnie przedstawiciele innych jeszcze państw europejskich z Koalicji antyniemieckiej mają wejść do Komisji Europejskiej.

W tej sytuacji protestują głośno przeciw takim postanowieniom tylko Francuzi, którzy zresztą mają za sobą kapitulację w 1940 r. Polska, która nie skapitulowała ani na moment, która odrzuciła wszystkie próby współpracy z Niemcami, została za to w Moskwie nagrodzona milczeniem w tych dokumentach oficjalnych, które zostały opublikowane. W świetle ich nie można mieć nadziei, by sytuacja Polski wyglądała lepiej w tych prokotołach z narad, w których sprawy Polski były poruszane.

Swoją drogą, w tej sytuacji lepiej już, że do Komisji Europejskiej mają wejść tylko przedstawiciele uczestników Moskiewskiej Konferencji i że nie weszli do niej nawet Francuzi. Lepiej już, żeby w tej Komisji w ogóle przedstawicieli państw europejskich walczących z Niemcami nie było, niż żeby miało być pod tym względem jakieś dalsze jeszcze zróżnicowanie.

W ogólnym obrazie sytuacji stanowisko dyplomacji francuskiej wygląda nawet lepiej, niż polskiej, gdyż w każdym razie przedstawiciel Francuskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego wejdzie przynajmniej do *Rady Konsultacyjnej dla Spraw Włoch* — obok przedstawicieli mocarstw uczestniczących w Konferencji Moskiewskiej. Nawet Jugosławia i Grecja wyszły w Moskwie lepiej

niż Polska, gdyż ich udział w *Radzie dla Spraw Włoch* został przynajmniej wyraźnie przewidziany na przyszłość, jakkolwiek jeszcze nie zrealizowany w teraźniejszości.

CO PRZEMILCZANO

Dwa elementy zostały w Moskwie przemilczane: Polska i Karta Atlantycka. Ze spraw polskich szczególne względy uczestników Konferencji Moskiewskiej zdobyło sobie zagadnienia masowego mordowania oficerów polskich, przypisywanego Niemcom. Niemcy wymordowali w Polsce wiele setek tysięcy Polaków różnych stanów i zawodów, jednakże jeśli idzie o masowe mordowanie oficerów polskich, to miało ono miejsce również poza Polską — na terenie Związku Sowieckiego. W tej sprawie Niemcy oskarżali władze sowieckie, Rząd zaś sowiecki oskarżał Niemców, odrzucił jednak zaproponowane przez Polskę zbadanie sprawy przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż. Jeżeli o tę sprawę chodzi, nie może żadnych w niej ustaleń czynić żadna konferencja polityczna. Bardziej wskazane byłoby tu jakieś międzynarodowe śledztwo sądowe.

Przemilczanie w Moskwie Karty Atlantyckiej też posiada swoją ciężką wymowę. Karta Atlantycka postanowiała m.i., że zwycięskie państwa naszej Koalicji nie będą dążyć do terytorialnych zdobyczy. *Deklaracja Czterech Mocarstw* (Chiny podpisały ją w Moskwie przez swego Ambasadora) powołuje się wprawdzie na *Deklarację Waszyngtońską* z 1 stycznia 1942,— w której 26 państw ze Związkiem Sowieckim włącznie deklarowało przystąpienie do Karty Atlantyckiej, jako Karty Zasad i Celów w tej wojnie — ale mówi tylko o determinacji sygnatariuszy moskiewskich do prowadzenia wojny "*zgodnie z Deklaracją Narodów Zjednoczonych z* 1 stycznia 1942". Czy więc z tej Deklaracji Waszyngtońskiej, przyjmującej za podstawę prowadzenia wojny dla wszystkich sygnatariuszy, a więc i dla Związku Sowieckiego, Kartę Atlantycką, pozostało już tylko zobowiązanie prowadzenia działań militarnych w ramach celów wojennych każdego z sygnatariuszy, czy też jeszcze coś więcej? Gdyby Karta Atlantycka, przewidująca restaurację naruszonych praw i dóbr, miała być zarzucona, a zasady jej poniechane na rzecz polityki siły, byłby to nowy dodatkowy cios dla narodów, która zawierzyły ideałom Karty Atlantyckiej.

KONGRES WIEDEŃSKI?

Przy przemilczeniu Polski w Moskwie tym większą uwagę wzbudza wysunięcie sprawy Austrii i deklaracja, że właśnie Austrii ma być przywrócona niepodległość. Dodano przy tym pewne aluzje, że właśnie Austria będzie miała możność przeprowadzenia pewnej akcji federacyjnej "*ze sąsiednimi państwami stającymi wobec podobnych problemów*". Jeżeli przypomnimy, że polityka Związku Sowieckiego wyraźnie potępiła nie dawno pewne zamysły związków międzypaństwowych, do których by miała wchodzić Polska, to i z tego punktu widzenia pominięcie Polski stanie się jeszcze bardziej wymowne.

Obawiać by się bowiem należało, że zostawiono w Moskwie furtkę otwartą takiemu załatwieniu problemu Europy Środkowej, w którym miejsce Polski, w lokalnym układzie sił i wpływów, miała by zająć jakaś federacja naddunajska z Austrią jako jednym z głównych członów tego nowego ugrupowania. Byłaby to koncepcja osłabienia Niemców przy pomocy Austrii, koncepcja, która tak zbankrutowała przed i w czasie wojny poprzedniej. Autorzy koncepcji tej liczą zapewne na zjednanie niektórych, kategoriami przeszłości rozumujących, umysłów angielskich, reminiscencją porządku europejskiego z okresu po Kongresie Wiedeńskim w 1815 roku, na którym to Kongresie podtrzymano Cesarstwo Austriackie, Rosji oddano Królestwo Polskie, całą zaś Europę poddano kurateli Świętego Przymierza z Caratem jako głównym policjantem. Wpływy rosyjskie w nowym tworze naddunajskim miałyby zapewne mieć ten sam charakter, co w dawnej Austrii z 1815 r. — to znaczy miały by to być wpływy ideowe: dawniej poprzez wspólnotę reakcyjną w polityce wewnętrznej, teraz przez filosowieckich Czechów i austriackich socjal — demokratów, nierównie przed niniejszą wojną czerwieńszych od jakichkolwiek innych socjalistów w Europie.

Oczywiście, wspomnimy tu od razu, że polityka polska miała by wobec takich zamiarów obecnie o wiele lepszą pozycję, niż w 1815 r. Jak dotąd jednak, polityka polska w czasie tej wojny, nie umiała użyć odpowiednio swoich własnych atutów i walorów.

SPRAWY POLSKIE

Prasa europejska i amerykańska zgadza się, że sprawy polskie nie zostały w Moskwie przesądzone, jeżeli nawet o nich tam mówiono. Nie ulega zresztą kwestii, że mówiono. Londyńska "*Free Europe*" pisze zresztą nawet: " . . . *There is no doubt that the published statements do not cover all the subjects discussed and the points on which agreement has been reached*".

Otóż bez wątpienia mówiono o Polsce przy art. 6 Deklaracji Czterech Mocarstw, który statuuje, że Mocarstwa:

"*Po zakończeniu działań wojennych nie użyją swoich sił zbrojnych na terytoriach innych Państw* (*within the territories of other States*) *jak tylko w celach w tej Deklaracji przedstawionych* (*envisaged*) *oraz po wspólnej konsultacji*".

Mówiono zaś zapewne dlatego o Polsce, że w związku z działaniami wojennymi przeciw Niemcom wojska sowieckie zdążają ku granicom Polski, obecnie okupowanej przez Niemcy. Jeżeli więc wojska sowieckię wkroczą do Polski, to powinno być zawarowane, że w ogóle nie będą to wojska okupacyjne, gdyż Polska nie prowadzi wojny ze Związkiem Sowieckim. Zamiary jednak Sowietów są znane i w związku z tymi zamiarami Konferencja Moskiewska postanawia tylko tyle, ile w powyżej cytowanym artykule powiedziano. Znaczy to, w stosunku do Polski Konferencja Moskiewska liczyła się z wkroczeniem wojsk sowieckich do Polski, że — jednak ta Konferencja stosunków polsko-sowieckich nie uregulowała, lecz sprawy te pozostawiła przyszłości.

Skoro zatem Konferencja Moskiewska jako całość nie wypowiedziała się co do spraw polskich, wypada zapytać, jak się do nich ustosunkowali uczestnicy konferencji indywidualnie. Samo postawienie tego pytanie jest już odpowiedzią na nie, gdyż nie mówimy tu o rzeczach nieznanych. Można natomiast te znane rzeczy uzupełnić nowymi zjawiskami i szczególnie pomocna staje się mowa Stalina w 26 rocznicę rewolucji bolszewickiej w Rosji.

Wedle tekstu przekablowanego do Londynu z Moskwy przez Ajencję *Reutera* Stalin w ogóle o Polsce nie wspomniał, wyrażając się:

"*Razem z naszymi Sprzymierzeńcami uwolnimy najpierw ludy Europy od najeźdźców niemieckich i wtedy przystąpimy do współpracy z nimi w utworzeniu ich państw narodowych* (*and then we will cooperate with them in the creation of their national States*), *które zostały rozczłonkowane przez faszystowskich ujarzmicieli*".

"*Ludy Francji, Belgii, Jugosławii i innych państw, obecnie pod jarzmem niemieckim, muszą znowu stać się wolne i niepodległe*".

Natomiast dzienniki londyńskie (*News Chronicle* i *Daily Worker*), które czerpią swoje doniesienia na własną rękę z Moskwy, cytują ten tekst trochę odmiennie. Mianowicie jest w nim mowa nie o "*współpracy*" sowieckiej w tworzeniu państw narodowych, ale o "*pomocy w odbudowie*" tych państw. Ponadto w zdaniu o ludach Francji, Belgii i Jugosławii wspomniana jest następnie *Polska, Czechosłowacja i Grecja* oraz "inne państwa obecnie pod jarzmem niemieckim".

W zakończeniu zaś swojej mowy Stalin oświadczył:

"*Niedaleki jest czas, kiedy całkowicie wypędzimy nieprzyjaciela z Ukrainy, Białorusi, z rejonów Leningradzkiego i Kalinińskiego, i uwolnimy od najeźdźców niemieckich ludy Krymu, Litwy, Łotwy, Estonii, Mołdawii oraz Republiki Karelo–Fińskiej*".

Nie ulega tedy wątpliwości, że stanowisko Rosji nie tylko nie uległo zmianie, ale nawet wzbogaciło się o nowe, dla nas niepomyślne, elementy. Mówiąc o Ukrainie i Białejrusi Stalin niewątpliwie miał na myśli również ziemie polskie, do tych republik sowieckich w 1939 r. inkorporowane. Wynika to także stąd, że podobny tytuł "prawny" mają Sowiety do Litwy, Łotwy i Estonii. Dla nas Litwa ma tu szczególne znaczenie, gdyż do kwestii zasadniczej wspólnej wszystkim państwom na zachód od Rosji dołącza się jeszcze specjalny wzgląd terytorialny. Kto mówi "Litwa", ten mówi również conajmniej "Wileńszczyzna", choćby tylko z tego powodu, że Litwa nie graniczyła nigdzie ze Związkiem Sowieckim, lecz jest odeń oddzielona terytorium Polski.

Wzmożenie zaś elementów Polsce nieprzychylnych w polityce sowieckiej wynika przede wszystkim, z sowieckiej *współpracy* czy *pomocy* w budowaniu państw dla "ludów" wyzwolonych z niewoli niemieckiej. Wprawdzie w *Deklaracji o Włoszech* Związek Sowiecki razem z dwoma anglosaskimi partnerami mówi ciągle o demokracji: o wolności słowa, religii, przekonań politycznych, prasy i zgromadzeń publicznych, z drugiej jednak strony wiadomo, że pojęcie demokracji sowieckiej różni się istotnie od demokracji w pojęciu jej klasycznym. W świetle tej demokracji bardziej jasne staje się wyrażenie przed miesiącem korespondenta moskiewskiego prosowieckiej *News Chronicle*, Pawła Wintertona, o tym, że polscy *landlordowie* z Wielkiej Brytanii (miał on na myśli *wszystkich* Polaków tu przebywających wojskowych i cywilnych) nie wrócą nigdy do Polski. Paweł Winterton sam tego nie wymyślił.

Nie należy zresztą przesądzać, że Sowiety zechcą wszędzie w odbudowanych po wojnie państwach Europy Środkowej wprowadzić ustrój sowiecki. Nie zapominajmy bowiem, że Rosja Piotra Wielkiego i Katarzyny Drugiej opierała się sama na samodzierżawiu carskim, w Polsce zaś popierała wolne elekcje, liberum veto i walkę wewnętrzną, dzieląc już wtedy Polaków na "dobrych" i "złych".

A GDZIE JEST POLITYKA POLSKA?

W tym stanie rzeczy zapytać należy, gdzie jest polityka polska? Może jeszcze bardziej do rzeczy było by zapytać, gdzie przez cały czas wojny dotąd *była* polityka polska? Teraz bowiem dopiero będzie rząd polski zbierał owoce swoich memoriałów z 1940 r., swojej informacji i propagandy o stosunkach

(*Dokończenie na str.* 824)

25 LAT LOTNICTWA POLSKIEGO

WCZORAJ

DNIA 5 listopada 1918 r pierwsza polska załoga wystartowała z lotniska we Lwowie na zadanie bojowe. Pierwszy samolot budzącej się Polski nie startował, by cieszyć radością Zmartwychwstania, lecz by walczyć o życie. Rocznica tedy powstania Lotnictwa Polskiego zbiega się co do miesiąca i prawie dnia z rocznicą odzyskania Niepodległości.

Wyczerpana pierwszą wojną światową Europa, zobaczywszy szczęśliwy koniec wojny, zapomniała wykreślić na swej mapie granice dla napisu Polska. Imię to wymieniano ogólnikowo — z "dostępem do morza" — ale granic swych musiała się Polska dobijać walką na wszystkich kierunkach: na wschód i na zachód, na północ i na południe. Walka ta dopiero decydowała o losach Polski, a często i Europy. W zmaganiach tych Lotnictwo Polskie tak po bohatersku żyło i działało, jak czyni to dziś. Kroniki jego przechowują pamięć meldunku bojowego, pisanego krwią lotnika.

W walkach organizowano jednostki, które rzucano na najbardziej zagrożone odcinki frontu. Z jednego na początku samolotu poprzez 32 dwie maszyny powietrzne i 16 samochodów doszliśmy do 20 eskadr bojowych, które improwizację materiałową uzupełniały silnym duchem, a zwycięstwa swoje znaczyły mogiłami.

Dopiero w dwa lata po zakończeniu pierwszej wojny światowej Polska zaczęła oddychać swobodniej. Nastąpiła demobilizacja. Lotnictwo jest bronią drogą, spalona zaś i kilkakrotnie przeorana wojną Polska nie miała dość zasobów, by utrzymać choćby to minimum z 1920 r. Lotnictwo nasze zostało zredukowane do 13 eskadr.

Na słabość lotniczą Polski w 1939 r. złożyły się dwie przyczyny:

(1) brak kapitałów własnych i niezainteresowanie się Polską naszych sojuszników;

(2) brak zrozumienia wartości lotnictwa w naszym życiu wewnętrznym, co wynikało z nikłości naszej kultury technicznej.

W 19 lat pokoju zbudowaliśmy lotnictwo na jakie nas było stać. Zrobiliśmy nie mało w stosunku do środków, o ileż jednak za mało w stosunku do potrzeb! Sąsiad zachodni, wspierany przez lata kapitałami naszych dzisiejszych sojuszników, wystawił w 1939 r. przeciw nam armadę powietrzną liczącą 3 tysiące samolotów pierwszej linii. Tej potędze mogliśmy przeciwstawić tylko 390 maszyn bojowych. Wróg złamał lotnika polskiego materialnie, ale nie złamał jego ducha. Wytrąconej broni z ręki lotnik polski szuka u sprzymierzeńców. Poprzez obozy Rumunii, poprzez *łagry* rosyjskie, często poprzez odległości równające się obwodowi kuli ziemskiej, lotnictwo polskie dochodzi do Francji. Wróg sieje wtedy pogłoski o demoralizacji w naszych szeregach. Czyż jednak jest zdemoralizowany żołnierz, który po takich przejściach chce jedynie dostać broń do ręki?!

DZIŚ

W Wielkiej Brytanii lotnictwo polskie otrzymuje broń równą technicznie broni przeciwnika. Wyniki dotychczasowe mówią same za siebie: nie będę ich tu powtarzał. Sucha notatka rzeczowa w *The Times* w trzecią rocznicę zakończenia *Battle of Britain* mówi, że w zasadniczym tej bitwy okresie każdy co ósmy zniszczony samolot niemiecki, strącony został przez polskich lotników. Nie trzeba nam większego uznania. Lotnik polski nie szuka ceny swej krwi. Patrzy on tylko w niebo, dopóki choć jeden nieprzyjaciel przemierza je nad Polską lotem swoich maszyn.

Lotnictwo polskie w tej wojnie w Europie jest na czwartym miejscu wśród Sprzymierzonych po lotnictwach Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych i Rosji Sowieckiej, przewyższa zaś dotąd bojowo razem wzięte lotnictwa wszystkich innych Sprzymierzonych. Czy fakt ten oceniany jest należycie? Czy wszyscy politycy mogliby spojrzeć prosto w oczy tym, którzy niepytając o cenę wznieśli się do walki w obronie wartości nie tylko własnych, ale i powszechnych, w obronie interesów nie tylko własnych, ale i innych? Gdyby dziś jak przed laty 25 zadowolono się znowu napisem ogólnikowym na mapie Europy "Polska", bez granic, wstyd wobec tak szlachetnych ofiar tych naszych polskich poległych i tylu najdzielniejszych z innych narodów musiałby się stać udziałem całej cywilizowanej ludzkości. Wszak kosztem 9 dni wojny prowadzonej obecnie można było może zapobiec jej w ogóle! Nie odważyłby się Hitler na wojnę z Polską, gdyby stosunek sił był inny.

Nie dobrze przedstawia się również sytuacja lotnictwa widziana od strony naszego życia wewnętrznego. Lotnictwo wkracza dziś w *każdą* dziedzinę życia państwowego, a jednak wszelkimi sposobami odmawia mu się możliwości przemawiania samodzielnie we własnym imieniu. Jest to wynikiem nie złej woli, ale braku kompetencji, fachowości i kultury technicznej. Na skutek tego lotnictwo nasze zamiast skupiać się, jest dzielone, zamiast spotęgowania wysiłku, spotyka się z trudnościami, zamiast celowości i zespolenia sił widzi rozdźwięk i doznaje rozgoryczenia. Taki stan rzeczy obniża wartości nasze w oczach postronnych obserwatorów, a troską przepełnia tych co walczą. Nie chodzi tu o ambicje, ale o to, by nie powtórzył się już rok 1939. Mimo szybkości lotu i mimo tempa rozwoju technicznego, lotnictwo wymaga planów na lata naprzód. Założenia dzisiejsze będą mogły być realizowane dopiero za lat pięć, więc i błędy dzisiejsze nękać nas będą conajmniej również tak długo. Będąc organizmem o słabym potencjale ekonomicznym, nie możemy pozwolić sobie na błędy.

JUTRO

Osiągnięcia lotnictwa obecne oraz możliwości jego najbliższe stawiają przed nim w życiu państwowym dwa główne zadania:

1) udział w życiu gospodarczym państwa,

2) udział w realizowaniu zadań państwa siłą zbrojną, a więc przede wszystkim obrona powietrzna.

Ponieważ siła militarna jest funkcją potencjału gospodarczego państwa, pozwolę tu sobie na najkrótsze tylko oświetlenie tego zagadnienia. Dziś powszechnie znany jest fakt walki i współzawodnictwa o udział w powojennej światowej komunikacji lotniczej. Rozwiązania odpowiednich zagadnień technicznych i wyniki już na tym polu osiagnięte są prawie, że fantastyczne; czasem trudno uwierzyć, że powietrzny transport pasażerski ma być tańszy od środków dotąd do tego celu stosowanych.

Polska pozostaje komunikacyjnie około 30 lat w tyle za Czechosłowacją, a około 100 lat za Belgią i W. Brytanią. Wiemy zaś, że przed obecną wojną Belgia, a częściowo i Niemcy zaczęły likwidować u siebie pewne odcinki linii kolejowych, gdyż transport tych linii przejął był samochód.

W obliczu takiego rozwoju tych zagadnień Polska ma przed sobą wybór:

1) albo dopędzać komunikacyjnie Zachód wedle standardów dotychczasowych,

2) albo wystartować razem z Zachodem do komunikacji powietrznej.

Decyzji trzeciej: "*jakoś to będzie*", nie rozpatruję, gdyż oznacza ona brak własnych myśli i bierne poddanie toczącym się wypadkom.

Średniowiecze wyżywało się w monumentalnych budowlach, jak katedry i zamki, wiek dwudziesty w budowlach użyteczności publicznej jak n.p. olbrzymie okręty, nowa era techniczna przynosi nam nowe możliwości — w powietrzu. Umysłowość nasza nie jest jeszcze w tej chwili ustalona: dopędzaliśmy średniowiecze w budownictwie gmachów, a równocześnie chcieliśmy budować dworzec w Warszawie z lotniskiem na dachu.

Otóż Polska ma warunki startu w powietrzu. Zważmy bowiem, że w samolocie tylko 7% stanowi wartość surowca, reszta zaś to wartość pracy. Pod tym względem lotnictwo polskie nie zawiedzie społeczeństwa, ani samo od tego społeczeństwa nie dozna zawodu. Kapitał zaś na uruchomienie lotnictwa wydobyć ze siebie musimy, gdyż chodzi tu zarazem o gwarancję naszej niepodległości, bezpieczeństwa i pokoju. Nie zlekceważmyż więc w żadnych okolicznościach czynnika czasu, którego tracić nam nie wolno. Przez budowę lotnictwa już dziś wyznaczajmy drogę do jutra Polski.

LOTNIK

(*Ciąg dalszy ze str.* 823.)

polsko-sowieckich zarówno w okresie z przed wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, jak i po jej wybuchu, oraz swojej polityki. Teraz dopiero zobaczymy, jakie to mózgi i charaktery postawiliśmy na czele polityki polskiej w tej największej naszej wojnie.

Oto bowiem jest najważniejsza dotąd konferencja wojenna. Na konferencji tej jedno mocarstwo występuje otwarcie przeciw nam, o wystąpieniach zaś dwu innych nic nie wiemy. Zapewniano nas przy każdej sposobności, że otrzymaliśmy wszystkie zabezpieczenia, że ofiary nasze dla utrzymania jedności "wielkiej koalicji" zostaną odpowiednio ocenione. Teraz powinniśmy zobaczyć realizację tych zapewnień. Zamiast tego widzimy wielki znak zapytania.

W jednym z wydawnictw rządowych czytaliśmy o tym, że politykę prowadzi się nie *czczym gadaniem* opozycji, ale codziennym twórczym *działaniem* rządu. Tymczasem samo przejście do opozycji może być działaniem, zasiadanie zaś w rządzie i pracowite próżniaczenie się po różnych pałacykach napewno jest tylko czczym gadaniem.

Nie ulega wątpliwości, że "*Deus mirabilis, fortuna variabilis*". Ani łaska Boska jednak, ani łaskawość fortuny nie dadzą nic tym, którzy umieją trwonić tylko dorobek polityczny, nic zaś doń dołożyć. Zagadnienie rządu polskiego staje się wobec zarysowujących się tendencji w sytuacji międzynarodowej kwestią "być albo nie być" naszej polityki.

HORYZONT WOJENNY

KAMPANIA przeciwko Sowietom, którą Niemcy rozpoczęli z dużym rozmachem wypróbowaną już metodą *Blitzkrieg'u*, nie dała rozstrzygnięcia w spodziewanym przez Niemców czasie. Mimo licznych poważnych i efektownych sukcesów operacyjnych i taktycznych, siły główne sowieckie nie zostały rozbite. W skali nowoczesnej Rosjanie jeszcze raz z powodzeniem powtórzyli historyczny manewr 1812 roku, uchylając się od rozstrzygającego zwarcia się z przeciwnikiem. Niemiecki "*rozkład jazdy*" zawiódł poraz pierwszy w Rosji.

Gdy kampania w Rosji przedłużała się nie dając rozstrzygnięcia, na zachodzie zarysowało się niebezpieczeństwo powstania drugiego frontu. Potencjał tego zagrożenia szybko narastał, mimo akcji opóźniającej niemieckich łodzi podwodnych.

Wpływ potencjalnego drugiego frontu na całość sytuacji wojennej w Europie był i jest niewątpliwy,— wymagał on reakcji niemieckiej, zmuszając do zabezpieczenia dużych przestrzeni na północy, zachodzie i południu przed nowym zagrożeniem, powodował rozproszenie sił i środków Niemiec, a więc automatycznie osłabiał ich wysiłek główny na wschodzie, czyli stanowił *istotną pomoc* dla akcji sowieckiej. Pomoc ta znalazła swój wyraz realny nie tylko w znacznej ilości dywizyj, które Niemcy wciąż muszą trzymać w różnych krajach okupowanych i wewnątrz Niemiec, a których chętnieby użyli przeciw Sowietom, lecz również w użyciu lotnictwa niemieckiego, którego znaczna część, szczególnie myśliwskie, musi być stale trzymana na zachodzie. W związku z koniecznością przygotowania obrony na zachodzie, niemiecki wysiłek fortyfikacyjny został również tu skierowany. Może dzięki faktowi, że Niemcy budowali swój "*Wal Atlantycki*", armia czerwona zastała obecnie obronę niemiecką nad Dnieprem gorzej zorganizowaną.

Perspektywa walki na dwa fronty, w połączeniu z brakiem możliwości uzyskania szybkiego rozstrzygnięcia na wschodzie, oraz zarysowujące się trudności na niemieckim froncie wewnętrznym — głównie jako skutek bombardowań z zachodu — wszystko to radykalnie zmieniło podstawy niemieckiego planu prowadzenia wojny, zmuszając Niemcy do zrewidowania swoich możliwości, a w konsekwencji do powzięcia nowych zasadniczych decyzyj.

Ostatnim aktem dowództwa niemieckiego w ramach planu, z którym Niemcy rozpoczęli wojnę obecną, można nazwać walkę o Stalingrad, prowadzoną z takim uporem i zaciętością przez obu przeciwników. Stalingrad przekonał Niemców, iż możliwości *Blitzkrieg'u* zanikły, gdyż zanikła istniejąca poprzednio dysproporcja sił i środków stron walczących. Walka o Stalingrad jest punktem zwrotnym w historii militarnej obecnej wojny.

Dotychczasowy wynik kampanii w Rosji jest *strategicznym* niepowodzeniem Niemiec, gdyż nie zapewnił im swobody działania przed uformowaniem się zagrożenia na zachodzie. Jest to więc bardzo duży sukces armii czerwonej, być może o decydującym znaczeniu dla ostatecznego wyniku wojny. Przyszłość wykaże, czy Niemcy nie przegrali obecnej wojny już pod Stalingradem.

2.

Wymuszona zmiana niemieckiej koncepcji prowadzenia wojny mogła przyjąć jedno z następujących rozwiązań:

kapitulacja,
układy z jedną ze stron,
kontynuowanie walki.

Zaprzestanie walki i poddanie się może byłoby dla Niemiec najlogiczniejszym wyjściem z obecnej sytuacji, gdy ich plan wygrania zawiódł i gdy całokształt położenia zredukował ich szanse prawie do zera. Czynniki kierownicze Niemiec nie poszły po tej drodze, przypuszczalnie z dwu względów. Bezsprzecznie doskonała armia niemiecka nie jest jeszcze pokonana. Walki w Rosji, gdzie było zaangażowane gros sił niemieckich, przestrzenie rosyjskie i ciężkie warunki klimatyczne, wszystko to niewątpliwie musiało obniżyć potencjał militarny Niemiec. Nie jest również bez znaczenia przebieg walk na innych teatrach wojennych, chociaż siły niemieckie były tam angażowane w znacznie niższej proporcji. Mimo to jednak, armia niemiecka jako całość nie była i nie jest rozbita, a więc i nadal jest poważnym atutem po stronie naszego przeciwnika.

Drugim momentem, który prawdopodobnie wstrzymuje Niemcy przed kapitulacją, jest obawa przyszłości, a właściwie roli, jaka w konstrukcji powojennej świata mogłaby obecnie przypaść Sowietom.

Innym możliwym rozwiązaniem dla Niemiec, w ich naprawdę trudnej sytuacji, byłoby pozbycie się zmory walki na dwa fronty w drodze układów z jedną ze stron. Realizacja takiego rozwiązania zależy jednak nie tylko od Niemiec, lecz również od ich obecnych przeciwników.

Zawarcie odrębnego pokoju na zachodzie byłoby dla Niemiec niewątpliwie korzystne, to też Niemcy byliby obecnie skłonni nawet do poważnych ustępstw. Pokój na zachodzie oznaczałby dla Niemiec zwolnienie poważnych sił lądowych i powietrznych, ustanie blokady i ciężkich bombardowań, wzmocnienie frontu wewnętrznego, uporządkowanie produkcji i zaopatrzenia materiałowego, a w konsekwencji — niepodzielny i poważnie wzmocniony wysiłek przeciw Sowietom. W kalkulacjach sztabu niemieckiego z pewnością wciąż jeszcze mieści się możliwość pokonania armii sowieckiej. Samodzielne pokonanie Sowietów oznaczałoby w tych warunkach uzyskanie wolnej ręki w uporządkowaniu Europy wschodniej, realizację, historycznego "*Drang nach Osten*", a więc silne wzmocnienie Niemiec, co pozwoliłoby w dalszej perspektywie skierować ponownie wzrok na zachód. Nie trzeba chyba podkreślać, że w tej koncepcji niema miejsca dla Polski. Na szczęście, ze zdecydowanych wypowiedzi kierowników polityki Państw Zachodnich czerpiemy tę pewność, że takie rozwiązanie nie jest możliwe.

W możliwość odrębnego pokoju na wschodzie trudno uwierzyć, chociaż przypuszczać można, iż takie propozycje ze strony Niemiec mogłyby być dobrze przyjęte przez Sowiety. Pokój na wschodzie, zawarty w obecnych warunkach, zwolniłby wprawdzie potężne siły Niemiec, jednak *bez możliwości* poważnego ich użycia przeciwko zachodniemu przeciwnikowi, którego źródło potęgi wciąż jest nieosiągalne dla sił niemieckich. W tych warunkach Niemcy mieliby do wyboru, albo wojnę na przetrzymanie bez szans jej wygrania, a więc bierne oczekiwanie na kontynencie sił głównych przeciwnika, — albo też czynne podjęcie działań o możliwościach ograniczonych i raczej ryzykownych, szczególnie wobec stałej niepewności co do zachowania się wschodniego sąsiada. Długie czekanie na inwazję kontynentu nie jest możliwe w obecnej sytuacji Niemiec, gdy czas już naprawdę pracuje na ich niekorzyść.

Dla Sowietów pokój w obecnych warunkach byłby może cenną okazją do nabrania oddechu, bez utraty możliwości wznowienia przerwanej walki w bardziej dogodnych dla siebie okolicznościach. W obecnych warunkach odrębny pokój na wschodzie, to powrót do stanu z roku 1941; nie byłby to więc pokój rzeczywisty, lecz tylko zawieszenie broni, niekorzystne dla Niemiec.

3.

Wiemy już, jaką drogę obrali Niemcy w tej przełomowej chwili obecnej wojny. Skapitulować nie chcieli, uniknąć perspektywy dwu frontów nie mogli, postanowili kontynuować walkę, nazywając ten nowy okres obecnej wojny "*obroną twierdzy europejskiej*". Warto zwrócić uwagę, iż Niemcy tę swoją decyzję ogłosili, a więc podali do ogólnej wiadomości to, co zwykle należy do najgłębiej strzeżonych tajemnic wojskowych.

Jak należy rozumieć postawę obronną Niemiec? Chyba nie będzie to obrona bierna, gdyż taka nie może dać zwycięstwa, a więc raczej obrona aktywna, przewidująca *zwroty zaczepne*. Koncepcja zwrotów zaczepnych cieszy się uznaniem w Niemczech, gdzie na kilka lat przed obecną wojną ukazała się ciekawa praca kpt. Marx'a odznaczona pierwszą nagrodą na konkursie, w której autor wymownie uzasadnia tezę, że *zwroty zaczepne* zawsze bardziej się opłacają, niż *akcje ofenzywne*, podjęte z własnej inicjatywy. Na poparcie tej tezy autor przytacza między innymi przykłady wielkich zwycięstw, nad Marną w poprzedniej wojnie światowej i nad Wisłą z wojny polsko-bolszewickiej.

Technika obrony manewrowej nie jest tajemnicą. Części składowe takiej obrony, to niezbędne minimum sił na poszczególnych kierunkach, przeznaczone do działań najczęściej nazywanych opóźniającymi, oraz możliwie silny odwód, przygotowany do użycia na obranym kierunku w najdogodniejszym dla obrońcy miejscu i czasie.

Niemcy w obecnej sytuacji strategicznej mają dwa ogólne kierunki działania: można je nazwać wschodem i zachodem. Decydując się na przejście do obrony, Niemcy *musieli* przystąpić do formowania odwodu. Niemiecka koncepcja obrony twierdzy europejskiej, to napewno obrona aktywna, to klasyczne działanie po liniach wewnętrznych, zastosowane w skali nowoczesnej.

Nie będziemy tu stawiać horoskopów Niemcom, ani też oceniać ich szans, gdyż nie znamy ich konkretnych planów i istotnych możliwości (nie wiemy na przykład, który z dwu groźnych dla nich kierunków dowództwo niemieckie przewiduje rozegrać w najbliższej kolejności); możemy jedynie pobieżnie rozważyć ogólne możliwości wojskowego rozegrania akcji na poszczególnych frontach.

Bardziej prawdopodobny wydaje się wciąż kierunek wschodni. Sowiety są dla Niemiec stałym bezkompromisowym przeciwnikiem, to też trwałe istnienie obok siebie tych krańcowo różnych światów nie jest możliwe. Armia sowiecka stanęła na przeszkodzie w zrealizowaniu niemieckiego planu wygrania wojny, lecz Niemcy są przekonani o swojej wyższości nad Sowietami, prawdopodobne zaś jest również, iż w ocenie niemieckiej Sowiety są u kresu swoich możliwości, gdy jedno poważniejsze zwycięstwo na polu walki mogłoby może zakończyć wojnę na wschodzie.

Kierunek wschodni nie dał Niemcom

rozstrzygnięcia ze względu na uporczywe uchylanie się armii czerwonej od walki decydującej. Siły główne sowieckie zostały zaangażowane dopiero w końcowej fazie "walki o Stalingrad", w momencie i położeniu dla Niemców niekorzystnym. Był to *zwrot zaczepny* Sowietów, który jednak nie spowodował rozbicia wojsk niemieckich. Poważny sukces wojsk czerwonych, to zniszczenie jednej armii niemieckiej pod Stalingradem. Cios niewątpliwie bolesny dla Niemiec, lecz nie katastrofalny dla całości wojsk. Wojska niemieckie *cofają się w sposób uporządkowany.* Jeśli dowództwo niemieckie w dalszym ciągu trwa przy zamiarze szukania rozstrzygnięcia na wschodzie, możemy przypuszczać, że Niemcy szykują zwrot zaczepny. W rozgrywce tej siły niemieckie znajdą się w terenie przygotowanym, z uporządkowanymi komunikacjami, gdy przeciwnikowi pozostawi się głęboką przestrzeń "nagiej ziemi", po której dwukrotnie toczył się walec zniszczenia. Wojska sowieckie bynajmniej nie są w pościgu dla wykorzystania powodzenia poprzednich sukcesów, lecz muszą stale solidnie nacierać. Takie działania są bardzo kosztowne, a straty sowieckie przypuszczalnie są znacznie wyższe od niemieckich. Niemcy mogą zastosować odwrócony manewr sowiecki.

Na zachodzie możliwość wygrania wojny dla Niemiec praktycznie nie istnieje, gdyż źródła potęgi Sprzymierzonych nie są osiągalne dla sił niemieckich. Nawet szereg zwycięstw niemieckich na polu walki może nie zakończyć wojny na zachodzie.

Przekleństwem Niemiec było, że mimo potęgi militarnej nie byli oni w stanie dosięgnąć sił Sprzymierzonych, i jeśli Hitler jeszcze w roku 1942 proponował Aliantom *wybrać miejsce* dla inwazji kontynentu i był nawet skłonny usunąć stamtąd swoje wojska, to fakt ten najlepiej ilustruje istotny stan rzeczy na zachodzie. Skuteczne przeciwstawienie się siłom, na które w chwili obecnej stać Sprzymierzonych, chyba jeszcze mieści się w granicach teoretycznych możliwości militarnych Niemiec, nawet pod względem sił lotniczych, które mogą oni skoncentrować na wybranym polu walki.

Nie jest wykluczone, iż Hitler zaakceptował wybrane przez Aliantów miejsce wkroczenia na kontynent europejski, a więc Włochy, i szykuje się do rozgrywki *na tym kierunku.* Rozbicie dostatecznie poważnych sił Sprzymierzonych we Włoszech nie byłoby wprawdzie równoznaczne z wygraniem wojny na zachodzie, lecz przypuszczalnie zabezpieczyłoby ten kierunek na czas dłuższy, pozwalając wzmocnić wysiłek przeciw Sowietom.

Na możliwość tego rodzaju rozgrywki we Włoszech wskazuje fakt, iż na tym stosunkowo nie dużym teatrze wojennym podobno znajdowało się do niedawna aż dwuch marszałków niemieckich. Możliwe więc, że Rommel był tym dowódcą, który w północnych Włoszech formował masę uderzeniową. Dla wciągnięcia na kontynent opłacalnej ilości sił przeciwnika musieliby Niemcy stopniowo wzmacniać opór swoich jednostek czołowych. Ze względów terenowych tego rodzaju próba mogłaby być podjęta w północnej części Włoch na północ od Rzymu, gdzie są większe możliwości manewrowe. Nie jest wykluczone, iż Niemcy opracowali swój nowy "*minutowy rozkład jazdy*".

4.

Realność przypuszczeń o możliwościach strategicznych Niemiec w ramach ich planu obrony "*twierdzy europejskiej*" bazuje się na założeniu, że potencjał militarny Rzeszy *nie uległ jeszcze* tak katastrofalnej dla Niemiec redukcji, iż już bierne przeciwstawienie się siłom przeciwników pochłania całość obecnie posiadanych zasobów Niemiec i uniemożliwia uformowanie odwodu dostatecznie silnego dla wykonania zwrotu zaczepnego.

Kryzys po stronie niemieckiej mógł powstać na odcinku zaopatrzenia materiałowego prędzej, niż w zasobach sił żywych. Poza stratą jednej armii pod Stalingradem, co jednak chyba jeszcze nie mogło wywołać kryzysu, najpoważniejszy wyłom w zasobach sił żywych Niemiec musiał powstać na skutek *wyeliminowania Włoch*, jako partnera Niemiec. Utrata tak poważnej ilości wielkich jednostek i konieczność chociażby częściowego zastąpienia ich własnymi oddziałami, to dotkliwy cios dla Niemiec, chyba poważniejszy, niż przegrana bitwa pod Stalingradem. Jeśli chodzi o ocenę obecnego stosunku sił na froncie wschodnim, to najbliższe prawdy wydaje się przypuszczenie, iż istnieje tam potencjalna przewaga sowiecka, zaś przebieg działań jest raczej wynikiem rozgrywek operacyjnych. Zużycie sił na tym froncie jest obustronne, przypuszczalnie nawet większe po stronie sowieckiej.

Sytuacja Niemiec na odcinku materiałowym wygląda raczej beznadziejnie. Potężne ciosy, zadawane przemysłowi niemieckiemu bombardowaniem powietrznym z zachodu, szybko pogłębiają różnicę potencjałów przemysłowych stron walczących, na niekorzyść Niemiec. Na odcinku walki lotniczej, rozbudowa środków obronnych, w skali odpowiadającej możliwościom zaczepnym przeciwnika, staje się dla Niemiec co raz bardziej niemożliwa. Nie jest również wykluczone, że Niemcy *już* odczuwają trudności w zaspakajaniu bieżących potrzeb materiałowych frontu. Jeśli taki obraz stytuacji Niemiec odpowiada rzeczywistości, nasuwa się pytanie, co usprawiedliwia decyzję Niemiec kontynuowania walki.

W wojnie obecnej występują dwie równolegle prowadzone akcje : polityczna i wojskowa, z punktem ciężkości częstokroć po stronie polityki. Stan ten jest uzasadniony chociażby faktem, że naczelne kierownictwo działań wszędzie spoczywa faktycznie w ręku polityków. Jest więc wysoce prawdopodobne, że na przewidywanych wydarzeniach politycznych bazują Niemcy swoje nadzieje najkorzystniejszego dla siebie zakończenia wojny. Wierzą oni zapewne w nietrwałość współpracy Sowietów i Zachodnich Demokracyj i przypuszczają, że konflikt pomiędzy wschodem i zachodem jest nieunikniony.

Jest więc możliwe, że ogólna myśl przewodnia Niemiec w chwili obecnej, to — przetrwanie czarnego okresu niepowodzeń na polu walki i *zachowanie armii*, jako ważnego czynnika politycznego w oczekiwanych wydarzeniach.

Art.

MARIAN EMIL ROJEK

ICH "DOBRE PRAWO"

W MIESIĄCU wrześniu 1943 opublikowany został w Londynie jeden z numerów wydawnictwa ukazującego się nieregularnie pod nazwą *Biuletyn Narodowy* na pierwszej stronicy, zaś *Biuletyn Klubu Narodowego* na ostatniej. Podwójna ta nazwa jest doskonałym symbolem nadużycia politycznego, przez to wydawnictwo dokonywanego. Nadużycie polega na tym, że kilku ludzi bez najmniejszych do tego uprawnień wystawia w Rządzie i w Radzie Narodowej fasadę: "*Stronnictwo Narodowe*", od strony tońskich zaś schodów, od tyłu, od ostatniej stronicy, widać, że to grupka paru osób, przybierająca nazwę nic politycznie nie oznaczającą "*Klubu Narodowego*".

W tym to numerze tego "*Biuletynu*" ukazał się dłuższy artykuł p.t. "*W sprawie Stronnictwa Narodowego*". Artykuł jest niepodpisany, ale nie jest bynajmniej anonimowy. Formułowany jest, jak oświadczenie zbiorowe, w liczbie mnogiej i zaczyna się od słów :

"*Decydując się w roku* 1942 *na wejście do Rządu i Rady Narodowej wbrew stanowisku dr. Tadeusza Bieleckiego, Prezesa Zarządu Głównego Stronnictwa Narodowego. . .*"

Ze słów tych jasno wynika, że artykuł jest dziełem zbiorowym i że autorami jego są : pp. Marian Seyda i Wacław Komarnicki — ministrowie, p. Stanisław Celichowski — wiceminister, oraz pp. Roman Fengler, Lucjan Rybiński i Zofia Zaleska — członkowie Rady Narodowej. Wszyscy oni należeli do Stronnictwa Narodowego i wszyscy zostali z list członków tego Stronnictwa skreśleni.

Wymienione osoby oświadczają we wspomnianym artykule, iż reprezentują Stronnictwo Narodowe w Rządzie i w Radzie Narodowej, a ściślej : że "*mają dobre prawo do działania imieniem Stronnictwa Narodowego w rządzie i Radzie Narodowej*". Oświadczają dalej, że "*stanowisko ich w tym względzie potwierdzone zostało przez Kraj, który . . . nie kwestionuje . . . ich udziału w Rządzie i Radzie Narodowej . . .*" Na poparcie swoich twierdzeń osoby owe wysuwają szereg argumentów bądź nieścisłych, bądź obiektywnie niezgodnych z prawdą lub nawet nieprawdziwych subiektywnie, t.zn. — nie ukrywajmy tego — zełganych.

Przykra to rzecz pisać tak o członkach własnego rządu i jego organu doradczego — Rady Narodowej. Staraliśmy się zawsze w *Myśli Polskiej* unikać używania określeń t.zw. nieparlamentarnych. Niestety, nie ma "parlamentarnych" określeń na "nieparlamentarne" fakty, na postępowanie nie mieszczące się w ramach jakichkolwiek pojęć politycznych i urągające zarówno normom politycznym, jak i moralnym. Musimy też brać pod uwagę, że szerokie rzesze polskie, demoralizowane rozpowszechnianymi z kół rządowych plotkami, często nie rozumieją określeń, jeżeli nie definiują one faktu wprost, bezpośrednio i bez żadnych omówień. Nie dawno jeden ze znajomych wyższych urzędników rządowych mówił mi :

"*Jeżeli tak jest, jak mówicie, to są to polityczni oszuści. Gdyby jednak byli, w tym znaczeniu politycznym, oszustami, tobyście to napewno napisali. Widać coś w tym jest, skoro nie piszecie*".

Dość dokładnie wyjaśniłem te sprawy publicystycznie w *Myśli Polskiej*, w artykule p.t. *Dotychczasowa "jedność narodowa"* (Nr. 43 z 1 kwietnia 1943) oraz w innych artykułach i notatkach. Wobec jednak artykułu w *Biuletynie* omawiam problem jeszcze raz, a skoro konieczne się okazują "kropki nad i" i "kreski nad t", więc też ich nie unikam. W polityce, jak i w innych dyscyplinach, *dura lex necessitas, sed lex.*

ZASADNICZA SPRAWA

Jednym z największych stronnictw politycznych polskich jest Stronnictwo Narodowe. Stronnictwo to ma swoją politykę i swoje organy do prowadzenia tej polityki. Stronnictwo to stara się swoją polityką wpływać na oficjalną politykę państwa polskiego. Środki do tego są doskonale znane. Będzie to albo udział w rządzie z przyjęciem odpowiedzialności lub współodpowiedzialności za politykę rządową, albo udzielanie poparcia politycznego rządowi bez zasiadania w nim, albo wreszcie opozycja wobec polityki rządowej w całości lub tylko wobec poszczególnych jej objawów.

Stronnictwo Narodowe wystąpiło z rządu w 1941 r. po zawarciu przez rząd w znany sposób i w znanym sformułowaniu paktu z Rosją, choć sprawa ta nie była jedyną przyczyną rozejścia się polityki rządu i polityki Stronnictwa Narodowego. Stronnictwo przeszło do opozycji wobec polityki rządu, nie mogąc się z tą polityką zgodzić i nie chcąc za nią brać odpowiedzialności. Wystąpili również z Rządu wtedy przedstawiciele polityczni Piłsudczyków. Owczesny szef rządu, poparty przez trzy inne stronnictwa, nie okazał chęci do kompromisu. Przez przejście do opozycji zaświadczyło tedy Stronnictwo Narodowe zarówno wobec własnego społeczeństwa, jak i wobec zagranicy, że nie całe społeczeństwo polskie popiera politykę słabości wobec roszczeń rosyjskich i niejasności polskich celów wojny, obciążaną w dodatku, w czasie wojny, problemami wewnętrznymi, zarówno z przeszłości jak i z wyimaginowanej przyszłości.

Powstał rząd bez udziału Stronnictwa Narodowego, co tylko sprzyjało jasności sytuacji. W miarę rozwoju wypadków mogło dojść albo do porozumienia opozycji z rządem, albo do zastąpienia stronnictw rządowych przez opozycję i zamiany ról. W warunkach polskich w tej wojnie nierównie prawdopodobniejsza była ewentualność pierwsza.

Upływał czas. Polityka polska nie straciła nic na walce, lecz przeciwnie — zyskała. Rząd nie mógł wobec roszczeń rosyjskich ograniczać się do natchnień własnych, gdyż był pilnowany dobrze od zewnątrz — przez opozycję. W polityce wewnętrznej ś.p. gen. Sikorski zmuszony został do przeredagowania deklaracji rządowej z 1941 roku, ułożonej przez ś.p. Liebermanna, w duchu większego umiarkowania. Sytuacja jednak taka wymagała od rządu wielkiego wysiłku, do którego zresztą jego członkowie nie zawsze byli zdolni. Sytuacja ta ich męczyła i denerwowała.

Generał Sikorski, którego zapędy jedynowładcze były zresztą dobrze znane, miał teraz do wyboru: albo przeprowadzić rozmowy na serio ze Stronnictwem Narodowym i ułożyć się co do podstaw rządu i polityki polskiej, albo nie ustępować od swojego kierunku i swoich metod politycznych, ale też liczyć się ciągle z tym, że każde posunięcie rządu jest od zewnątrz kontrolowane i krytykowane, odpowiedzialność zaś obciąża wyłącznie jego i podległe mu stronnictwa.

W tej sytuacji politycznej stawało się co raz bardziej prawdopodobne, że dojdzie do rekonstrukcji rządu i do ulepszenia polityki polskiej: do sformułowania polskich celów wojennych oraz koncepcji politycznej ich realizacji, gwarantującej najwyższy możliwie stopień sprawności politycznej i technicznej.

Wtedy przyszli oszuści (polityczni). Panowie, których nie stać było na walkę ani na prywacje dla sprawy publicznej, a których motorem działania była zadawniona, przedwojenna, niechęć do Prezesa własnego Stronnictwa. Teraz przyszedł ich dzień. Teraz mogli wreszcie porachować się ze swoim Prezesem. I wynaleźli czas i miejsce do porachunków: trzeci rok najstraszniejszej w dziejach Polski wojny i teren emigracji w Londynie. Pod jednym względem mieli rację: nigdyby nie mogli podobnej akcji przeprowadzić w Polsce!

Powiedzieli więc Sikorskiemu: po co ma Pan układać się z Bieleckim o udział Stronnictwa Narodowego w Rządzie, po co ma Pan ograniczać się i wiązać jakimś układem, jakimś ustaleniem polskich celów wojny i metod polityki? Pan może mieć imię Stronnictwa w polityce bez takich ograniczeń: Seyda i Komarnicki wstąpią do rządu i oświadczą, że reprezentują Stronnictwo, nie domagając się żadnych zmian i żadnych ustaleń w Pańskiej mądrej i przewidującej polityce wojskowej i cywilnej, wewnętrznej i zagranicznej. Oni się z góry zgodzą na wszystko!

Gdyby nie to nadużycie, można by było jeszcze za życia Sikorskiego utworzyć lepszy rząd polski i zapoczątkować lepszą politykę. Dzisiaj znajdują się świadkowie na bardzo wysokich stanowiskach oficjalnych, którzy twierdzą, że Sikorski na Wschodzie przed śmiercią oświadczał, że musi zrobiony błąd naprawić. Ale nie powołujemy się na to, choć świadkowie zasługują na wiarę. Stwierdzamy tylko, że gdyby nie postępek p. Seydy i towarzyszy Sikorski byłby *zmuszony* — tak często w polityce bywa — do uzupełnienia tych walorów, jakie w polityce miał jego rząd, walorami jeszcze jednego conajmniej znacznego odłamu społeczeństwa i całym kapitałem politycznym tego odłamu. Udział prawdziwego Stronnictwa Narodowego w rządzie musiałby był odbić się na polityce i działalności rządu we wszystkich resortach: w polityce zagranicznej i koncepcji celów wojny, w wojsku i prowadzeniu wojny, w informacji i w propagandzie, w pracach opieki nad uchodźcami i w pracach przygotowawczych dla Kraju. Nie negujemy niczyjego dorobku, stwierdzić jednak musimy, że jest on we wszystkich dziedzinach niedostateczny, w dziedzinie zaś polityki zagranicznej i celów wojny stan rzeczy obecny budzić musi wręcz najwyższy niepokój.

Sikorski kupił sobie pozory udziału Stronnictwa Narodowego, płacąc też tylko tyle, ile się płaci za pozory. Sikorski zresztą nie zapłacił za te pozory politycznie, lecz raczej tylko materialnie, zachowując dla przyzwoitości tylko konieczne formy. Pp. Seyda i Komarnicki zaś sprzedali to, czego nie mieli, sprzedali więc za bezcen. Polityka rządu nie tylko nie została zmieniona, lecz przeciwnie —utrwalona, a zmiana jej utrudniona.

Kto jednak — zapytam tu autorów artykułu w *Biuletynie* — upoważnił tych dwu panów do występowania w imieniu Stronnictwa? Piszą oni w swoim artykule:

"*Stawiamy wobec tego pytanie, jakie to władze Stronnictwa reprezentuje Bielecki*?"

Oraz twierdzą:

"*Tu dopiero na emigracji wyrósł dyktator, który twierdzi: "Stronnictwo Narodowe — to ja!*"

Pytanie ich nie wymaga żadnej odpowiedzi, gdyż nie jest to nawet pytanie retoryczne. Stara się ono co najwyżej sugerować wrogom Stronnictwa, że Stronnictwo nie ma żadnych władz, że więc każdy może nadużywać jego imienia. Mimo to jednak postaram się tu dać odpowiedź, ale najpierw sam zadam pytania obu panom ministrom:

Jakie władze Stronnictwa Narodowego *wy* reprezentujecie? Kto *wam* dał mandat reprezentowania Stronnictwa w Rządzie i w Radzie? I wreszcie: kto na emigracji w sposób najbardziej uzurpacyjny i dyktatorski twierdzi "*Stronnictwo — to my!*"?

Na pytania te panowie ministrowie, wiceminister i członkowie Rady Narodowej, których tu już wymieniłem po nazwiskach, odpowiedzieli w wymienionym artykule *Biuletynu* kłamstwem i fałszem.

Nie, panowie! Nie macie *dobrego prawa* do działania imieniem Stronnictwa Narodowego w Rządzie i w Radzie. Nie macie *żadnego* to tego prawa, a więc nie możecie mieć *dobrego* prawa!

Z tego pierwszego waszego kłamstwa wynikają wszystkie inne, których pełno w waszym artykule. I rzecz to naturalna: *Kto raz skłamał i chce to kłamstwo utrzymać*, musi kłamać bez przerwy, musi gromadzić kłamstwo na kłamstwie, musi żyć w kłamstwie, musi kłamać przeszłości, musi zadawać kłam teraźniejszości, musi w świetle kłamstwa widzieć przyszłość. I co więcej: nie może zamknąć się w kłamstwie sam; zaraża tym kłamstwem wszystkich, którzy pierwsze kłamstwo przyjmują za zasadę współpracy, kala nim tych, którzy są nad kłamcą i go tolerują i ku zgorszeniu prowadzi tych, którzy — układem obiektywnym rzeczy zmuszeni — są od kłamców służbowo zależni.

Kłamstwo dotyczy jednak nie tylko osób i instytucyj, kłamstwo może mieć wpływ także na sprawy powierzone jednostkom i instytucjom. Kto dziś fałszuje wolę znacznego odłamu społeczeństwa w zakresie sytuacji emigracyjnej, ten jutro może się zdobyć na sfałszowanie tej woli w skali krajowej, a pojutrze na sfałszowanie woli całości w skali międzynarodowej!

I dlatego nie wolno tolerować kłamstwa w życiu publicznym i w ustroju państwa. Stronnictwo Narodowe może być w Rządzie, albo poza Rządem. Ale nie wolno kłamać, że w Rządzie jest, skoro go tam nie ma!

WŁADZE STRONNICTWA

Ze wszystkich ruchów politycznych polskich zorganizowanych w stronnictwa, tylko Stronnictwo Narodowe ma na emigracji swojego Prezesa Zarządu Głównego i Prezesa Rady Naczelnej. Obaj oni, jak i p. Seyda i towarzysze przyznają, są przez organy krajowe Stronnictwa uznawani. Więc kto reprezentuje Stronnictwo! Obaj Prezesi, czy dwaj panowie, którzy od paru już lat przed wojną w *żadnych* organach Stronnictwa Narodowego, ani naczelnych ani okręgowych, nie zasiadali?

Rada Naczelna w czerwcu 1939 na wniosek Komitetu Głównego wybrała Zarząd Główny Stronnictwa z dr. Bieleckim na czele. Nie było na Radzie Naczelnej drugiej listy: cała dyskusja odbyła się na Komitecie, na którym dyskutowano dwie listy. Ale na obu był Bielecki: na jednej jako prezes, na drugiej jako wiceprezes. Kontrkandydatem Bieleckiego nie był ś.p. Kazimierz Kowalski, jak zdaje się sugerować artykuł Seydy i tow., gdyż ś.p. Kazimierz Kowalski nie kandydował. Po wyczerpującej dyskusji odbyło się głosowanie, jak w poważnej instytucji poważnego Stronnictwa przystało. Przeszła lista z Bieleckim jako Prezesem. Ale kogoż te szczegóły dzisiaj interesują? Jakie one mogą mieć znaczenie? I cóż to za obyczaje polityczne, żeby wewnętrzną dyskusję w Komitecie Głównym z roku 1939 odtwarzać dzisiaj — i to nieściśle — w Londynie. Trzeba wręcz powiedzieć, że przy najgorszych usiłowaniach rozbijackich sanacji w Polsce żaden z odszczepieńców nie urządził takiego widowiska, jak tych paru dywersantów w Londynie!

Rada Naczelna wybrała prof. Folkierskiego swoim prezesem. Choćby nawet jedynym zadaniem tego Prezesa było przygotowanie tylko następnego posiedzenia Rady i przewodniczenia na nim, to jednak Prezes Rady Naczelnej, a więc najwyższego organu Stronnictwa, ma *lepsze* prawo do przemawiania w imieniu Stronnictwa, niż pp. Seyda i Komarnicki.

Kauzyperda, redagujący stronę prawną artykułu w *Biuletynie*, usiłuje stworzyć pozory jakiejś podstawy statutowej działalności fałszerzy przez położenie nacisku na Komitet Główny Stronnictwa, którego dwaj b. członkowie znajdują się wśród nich (Celichowski i Łomżanin). Twierdzi on, że Prezes Bielecki nie miał prawa wykluczać ze Stronnictwa członków "jego władzy przełożonej" zapomina jednak — umyślnie — dodać, że Komitet Główny i Zarząd Główny nie pozostawały do siebie w stosunku nadrzędności i podrzędności, lecz były to organy funkcjonalnie od siebie w ustroju Stronnictwa różne, że zresztą zarówno Prezes Bielecki jak i Prezez Folkierski byli również członkami Komitetu Głównego, a ponadto mandaty swoje prezesów otrzymali od *najwyższej instancji* w Stronnictwie — od Rady Naczelnej, że więc w żadnym wypadku nie może być mowy o jakiejkolwiek podrzędności wykluczających w stosunku do wykluczonych, tylko wprost przeciwnie.

Ale — rzecz najważniejsza — Komitet Główny przekazał swoje uprawnienia na czas wojny Zarządowi Głównemu, którego uprawnienia zagranicą wykonuje Prezes Bielecki za wiedzą, zgodą i z upoważnienia Zarządu w Kraju. A Zarząd Główny jak to sam kauzyperda rejestruje — miał prawo wykluczania członków, niezależnie od odwołań, jakie oni mogli ewentualnie wnieść.

Dywersanci jednak "wątpią", czy takie posiedzenie Komitetu mogło się odbyć w Warszawie, w warunkach wojennych. Korzystają z rządowej sieci łączności z Krajem, ale na sprawdzenie tej okoliczności nie zdobyli się. Wolą tego nie robić. A tymczasem z przebywających w Londynie członków Komitetu Głównego niżej podpisany brał udział w Warszawie w październiku 1939 r. w dwu wspólnych zebraniach członków Zarządu i Komitetu, mecenas zaś Demidecki, także członek Komitetu, brał udział następnie w posiedzeniach Zarządu Głównego już po przelaniu władzy Komitetu na Zarząd i po uzupełnieniu Zarządu *z tego właśnie tytułu* członkami Komitetu w osobach: ś.p. prof. Romana Rybarskiego i ś.p. wojew. Aleksandra Dębskiego. Mecenas Demidecki, nie zasiadający w Zarządzie Głównym z wyboru, również wtedy został członkiem Zarządu, dokooptowany dla pełnienia powierzonej mu funkcji specjalnej. Dwu jest więc żywych świadków w Londynie z tego, jak się odbywały posiedzenia w Polsce, z tego jeden świadek przemian organizacyjnych już dokonanych.

Więc nie mogą dwaj wykluczeni członkowie Komitetu Głównego powoływać się na Komitet. Oprócz nich dwu zresztą jest w Wielkiej Brytanii *siedmiu* innych członków Komitetu Głównego, którzy nie mają żadnych wątpliwości co do sytuacji w Stronnictwie, zasiadając w tutejszym Komitecie Politycznym S.N. Fałszerze, którzy zarzucają Prezesowi Bieleckiemu dyktaturę, stosują tu widocznie sami zasadę hitlerowskiej dyktatury, iż im kłamstwo bardziej oczywiste, tym bardziej uparcie trzeba je powtarzać.

Nie ulega zatem wątpliwości, że fałszerze rzeczywistości Stronnictwa Narodowego nie mieli prawa do "*działania imieniem Stronnictwa Narodowego w rządzie i Radzie Narodowej*". Nie mając go od początku, nie mogli go nabyć później. *Quod ab initio vitiosum est non potest tractu temporis convalescere* ! I nie zmieniło się w tej sprawie stanowisko krajowych władz Stronnictwa.

Obecne załgiwanie sytuacji wynika stąd, że Rząd odciął Stronnictwo Narodowe w Kraju od kontaktowania się przy pomocy rządowej sieci łączności z władzami Stronnictwa w Londynie. Własne środki łączności zaś zużywają więcej czasu i bardziej narażone są na niepomyślności fortuny wojennej: wymagają więcej poświęcenia i ofiar. Więc Stronnictwo wysyła z Kraju listy i depesze do reprezentacji Stronnictwa w Londynie, ale rząd poradził sobie z tym bardzo prosto: albo wcale nie doręcza, albo doręcza Seydzie. Tamci w Kraju, narażając się przy każdej depeszy, piszą i telegrafują do Bieleckiego, odpowiedzi zaś udziela im Seyda! Osobna to sprawa z punktu widzenia funkcjonowania rządu i osobny znajdzie epilog. Tu ograniczamy się do zanotowania faktu, którego wyraźne stwierdzenie potrzebne nam jest do niniejszych wywodów.

Więc jeżeli w tych warunkach, mając cały rządowy aparat łączności do dyspozycji p. Seyda i tow. nie mogą sprezentować pism uwierzytelniających z Kraju, lecz przywłaszczają sobie korespondencję, cytują tylko urywki, z których wynika, nawet wedle streszczenia p. Seydy, że *mandat p. Bieleckiego jako Zarządu Głównego Stronnictwa Narodowego nie jest kwestionowany*, to co to znaczy? Jeżeli pp. Seyda i tow. z jednej depeszy cytują jedno zdanie nieskończone, a resztę urywają, to co to znaczy? Zacytujcie panowie choćby z tej tylko depeszy wszystko, co się do tej sprawy odnosi, spełnijcie choć by ostatnie tylko żądanie Stronnictwa z Kraju skontaktowania go szlakiem oficjalnym z władzami Stronnictwa w Londynie, i wtedy powołujcie się na Kraj! Twierdzicie, że Stronnictwo w Kraju "niekwestionuje waszego udziału w Rządzie i w Radzie", a dlaczego nie twierdzicie, że Kraj w was widzi swoich reprezentantów? Bo Kraj nie przesądza udziału Stronnictwa w Rządzie i w Radzie, ale reprezentantem Kraju w tej sprawie jest Prezes Bielecki, i w jego ręce Stronnictwo walczące w Kraju złożyło pełnomocnictwa co do tego, jak krew przelana przez narodowców w walce z Niemcami ma ważyć w polityce polskiej w Londynie [1])

MARIAN E. ROJEK

[1]) Odsłoniwszy w powyższych wywodach podstawowy fałsz rozpowszechniany przez dwu panów ministrów, jednego wiceministra i troje członków Rady Narodowej, nie mam już chęci ani potrzeby prostowania tu dalszych ich zmyśleń w omawianym artykule "Biuletynu" — pochodnych od tego głównego zmyślenia. W szczególności nie wdaję się w polemikę o dobre imię Prezesa Bieleckiego, atakowanego w *Biuletynie* z przewrotną złośliwością, lecz stojącego ponad tego rodzaju "zarzutami" i cieszącego się pełnym zaufaniem narodowców zarówno w Kraju jak i na wychodźctwie.

JERZY PIETRKIEWICZ

POEZJA UŁATWIONA[1])

(K. Wierzyńskiemu w odpowiedzi [2]))

ARTYKUŁ Kazimierza Wierzyńskiego, członka Akademii Literatury, o poezji polskiej na emigracji nie jest szkicem krytycznym, ale impresją liryczną o charakterze panegirycznym. Wiadomo, że K. Wierzyński należał do "*Skamandra*", że Tuwim, Słonimski, Wittlin, Lechoń i Baliński to jego starzy przyjaciele; z pewnym przeto zażenowaniem czyta się ten artykuł, w którym przyjaciel nazywa przyjaciela genialnym pisarzem, a utwory jego arcydziełami.

Zdumieni pochopnością sądów (stawianie pomników za życia jest niesmacznym polskim zwyczajem, ryzykownym zarówno dla obiektu jak i dla stawiającego), przeładowanych wykrzyknikami, entuzjazmem — od którego odwykliśmy już trochę, czytając pisma literackie w angielskim języku — musimy się poprostu odwołać do poczucia taktu, który, nie tylko w literaturze zresztą, nakazuje powściągliwość w opiniach o współczesnych.

SLOGANY REKLAMOWE

Niestety — w taki właśnie sposób robi się "sławy" literackie w Polsce, od czasu gdy grupa "*Skamandra*", wykorzystując polską skłonność do panegiryzmu, zignorowała do reszty ów takt towarzyski, obowiązujący między pisarzami jeszcze w epokach Prusa i Miriama-Przesmyckiego. Nie zdziwiłbym się więc bardzo, gdybym przeczytał w jednym z najbliższych numerów "*Wiadomości*" artykuł Tuwima lub Lechonia na cześć Wierzyńskiego. Dobrzy ci znajomi wykazują długoletnią cierpliwość w chwaleniu siebie samych i nie nudzą się bynajmniej, powtarzając sobie co kilka tygodni te same komplementy. Istotą bowiem reklamy jest uporczywe powtarzanie jednobrzmiących sloganów, dopóki publiczność nie nasyci się nimi tak, że nie będzie w stanie przełknąć innych, pochodzących od ewentualnego konkurenta.

Oczywiście wolno Wierzyńskiemu uwielbiać przyjaciela Lechonia, a Lechoniowi przyjaciela Wierzyńskiego. To już kwestia ich poczucia taktu, no i metod reklamowych wydawcy pisma.

Wierzyński jednakże poruszył mimochodem sprawy, które ważniejsze są nawet od tego osobliwego — iście cudownego — zjawiska, że wśród jego przyjaciół co poeta to geniusz; sprawy te dotyczą samej już istoty poezji, jej źródeł i wpływu na czytelnika, jej tworzywa i formy wypowiedzi. One właśnie, aczkolwiek tylko mimowoli wspomniane, zmuszają nas nie tyle do dyskusji, ile do wyjaśnień. K.

[1]) *Redakcja "Myśli Polskiej", podzielając podstawy poglądu na świat Jerzego Pietrkiewicza, nie staje jeszcze bynajmniej tym samym na stanowisku wyższości jakiejkolwiek jednej szkoły formalnej w literaturze w ogóle i w poezji.*

[2]) K. Wierzyński: "Poezja polska na emigracji" w "*Wiadomościach Polskich*" Nr. 41 z 10.X.1943.

Wierzyński, usprawiedliwiając się w swoim milowym artykule brakiem miejsca, załatwia się w kilku linijkach z poezją tzw. awangardową, czy też — jak to on nazywa — czystą formą, "*która w istocie jest surowym przeniesieniem obcych wzorów na grunt zgoła odmienny i do klimatu mało sprzyjającego takim transplantacjom*".

SKAMANDER PRZECIW AWANGARDZIE

Nie chodzi tu więc tylko o wiersze niżej podpisanego, które naprowadziły Wierzyńskiego na taką właśnie uwagę o jednej z największych i najbardziej skrystalizowanych szkół literackich współczesnej epoki. Wierzyński generalizuje, podając w wątpliwość wyniki pracy intelektualnej kilkudziesięciu poetów tzw. awangardowych, którzy stanęli w Polsce przeciw leniwej opinii czytelnika, przeciw pogardzie brukowej prasy, a także i przeciw czułym na poklask poetom "*Wiadomości Literackich*", — gdyż pragnęli nawet za cenę pozornej śmieszności, niedostatku i samotnictwa związać poezję polską z Europą, ze światem myśli odkrywanych, ambitnych i świeżych. Skamandryci nigdy nie skrzyżowali szpad, nigdy nie podjęli walki lojalnej o sprawy w poezji nadrzędne; wręcz przeciwnie: próbowali przemilczać, a jeśli przemilczanie stawało się ryzykowne — ośmieszać wysiłki nowatorów. Ten ich kilkuletni, niezmienny, stosunek do prądów nowoczesnych w poezji, wystawia jak najgorsze świadectwo o poziomie — właśnie o *poziomie* — życia intelektualnego w ostatnich dwudziestu latach polskich.

Wierzyński pisze o "*przerażającym braku krytyki w Polsce*" i zauważa słusznie, że "*potraciliśmy z pola widzenia mnóstwo istotnego sensu naszej twórczości*"; czas jednak by K. Wierzyński zdał sobie sprawę, kto jest za to odpowiedzialny. Nikt inny, tylko jego długoletni przyjaciele po piórze. Co smutniejsze, omawiany tu panegiryk o twórczości poetyckiej na emigracji tylko potwierdza tę niewesołą prawdę. Znów bowiem jeden ze "skamandrytów" wmawia w bezkrytycznego i w ogóle intelektualnie nieprzygotowanego czytelnika, że poezja polska jest fenomenalna, że "arcydzieła" rosną jak grzyby po deszczu, że nic tylko uwielbiać i czekać na nowe objawy naszego geniuszu.

POEZJA WYPADKU

Brzmi to wszystko jak złośliwy dowcip, wypowiedziany z miną bardzo serio, bo akurat tak się składa, że poezja nasza na emigracji reprezentuje wszystkie symptomy upadku: łatwiznę bierze się za prostotę, lenistwo za milczenie mędrca, histerię za szlachetny protest, a ckliwy sentymentalizm za cierpienie. Jednocześnie dzieje się to na tle ambitnej twórczości kraju, który dumny jest, że posiada najlepszą literaturę w świecie, kraju, gdzie prądy nowatorskie mimo tradycjonalizmu — jakże głęboko pojmowanego jakże i innego od naszego prowincjonalizmu — zdołały przecież zdobyć sobie właściwe stanowisko w literaturze, co więcej: dawne niezrozumialstwa nabrały sensu proroctw, przeczuwających wielką wojenną katastrofę, ostrzeżeń niedosłyszanych, tym więcej przeto tragicznych i poetycko szczerych.

DZIEJE "NIEZROZUMIALSTWA"

Nie jeden tylko K. Wierzyński zarzuca poezji nowoczesnej niezrozumialstwo. Dowodów nie brak w historiach wielu literatur jak często zawikłane problemy sztuki upraszczano słowem "niezrozumialstwo". I akurat ci ‚niezrozumialcy" ostawali się rozkładowemu procesowi czasu, po szczeblach wieków wstępując coraz wyżej na szczeble literackiej hierarchii. Zdumiewająco natomiast popularni za życia poeci umierali w literaturze często wcześniej niż w życiu.

Klasycznym przykładem są dzieje sławy poety angielskiego John'a Donne'a, reprezentującego tzw. sztukę poetów metafizycznych XVII wieku, której synonimem przez długi czas był właśnie ów leniwy, niedbały wyraz "niezrozumialstwo". Rzecz znamienna, że nawet wśród tych poetów metafizycznych najmniej wartościowego Cowley'a stawiano długo wyżej od Donne'a, jakby chcąc udowodnić, że istnieje hierarchia i w niezrozumialstwie. Potem, kiedy zaczęto się powoli przekonywać do Donne'a jako do poety, próbowano tłumaczyć jego liryczne zawikłania "godną pożałowania" wersyfikacją. Romantycy, później Browning a dziś T. S. Eliot, uważają poezje Donne'a za największe osiągnięcia w liryce angielskiej.

Koniec XVI wieku widział w niezrozumialstwie wielkiego poety tylko dziecinną zabawę słowami, sławny Ben Jonson wróży Donne'owi, że z powodu niezrozumialstwa poezja jego zginie w ogóle w niepamięci; w połowie XVIII w. krytyk pewien tłumaczy ten sam problem "nałogiem niezrozumialstwa", twierdząc z uporem, że poezja Donne'a jest niczym innym tylko bezładnie ułożonym "stosem zagadek". To samo powtarza potem Hazlitt, wątpiąc czy sam Sfinks zdołałby rozwikłać zagadki Donne'a. Nawet wielki dr. Johnson, subtelny krytyk i znawca poezji, nie umiał się poznać na talencie tego fenomena poetyckiego elżbietańskiej literatury. W roku 1844 można już czytać o Donne'ie opinię, że wizje jego nie powinny być "sprawdzane" przez porównywanie z rzeczywistością; nie odpowiadają one bowiem realnym przedmiotom wyobrażeń, ale rzeczom, których można się jedynie "domyślać". Wiek XIX musi się już liczyć z silnymi wpływami wierszy Donne'a na poetów współczesnych.

T. S. Eliot, subtelny poeta i analityk literatury, pisze, że żaden z poetów nie prześcignął John'a Donne'a w osobliwym powiązaniu najróżnorodniejszych "jakości poetyckich", elementów tak pozornie sprzecznych, że musiały one początkowo wywołać wrażenie niezrozumialstwa u ludzi, którzy znali lub używali tylko kilku zaledwie środków wypowiedzi. Rozumiejąc elementy im znane, oburzali się na inne — nieznane, lub po prostu załatwiali się z "niezrozumialcem" krótko: śmiechem: machnięciem ręki.

WIEK XVII I WIEK XX

Nawiązując do modnych zarzutów, że poezja dzisiejsza grzeszy niezrozumialstwem, często powołują się jej obrońcy na poezję metafizyczną XVII wieku, twierdząc, że tak jak w wieku XVII tak i po Wielkiej Wojnie świat został wstrząśnięty nowymi teoriami naukowymi i wynalazkami; dotychczasowa stateczność zachwiała się pod atakiem gwałtownych, przeciwstawnych sobie, idei politycznych i społecznych. Porównanie — zaiste — uderzające prawdą!

Zważywszy jak trudno nam — obserwatorom — odczytać szyfry współczesnych konfliktów, nie dziwmy się, że poezja nowoczesna, chcąc domyśleć się i przeczuć przemiany, musi posługiwać się *skomplikowanymi* środkami, których mechanizm będzie wkrótce prosty i oczywisty.

OTO CZYM JEST POEZJA

C. Day-Lewis formułuje to pięknie w swej książce o poezji współczesnej (unikam tu celowo przekładu, chcąc zachować czytelnikowi świeżość oryginału):

"*It is the nature of the poetic vision to perceive those invisible truths which are like electrons the basis of reality; the nature of the poetic imagination to become aware of the cryptic links that bind our universe together, to find similarity in difference and to make coherence out of contradiction*".

Nie należy więc sądzić, że poeta awangardowy *chce* być niezrozumiały, że chce się odgrodzić od czytelnika murem nieprzebytych wizji. Należy zato pamiętać prawdę, nie dla wszystkich jeszcze dostępną, że świat i życie są *w istocie swojej* niezrozumiałe, że po mozolnych dociekaniach i poszukiwaniach trzeba zawierzyć przeczuciom, trzeba się domyślać, brnąc przez sny, walczyć stale z falsyfikatami wyobraźni o wizję czystą i szczerą, o *autentyzm* przeżycia i poetyckiej wypowiedzi.

Nie są to rzeczy łatwe do osiągnięcia. W takiej postawie wobec literatury dużo jest samozaparcia się i tragizmu, dużo rezygnacji z doraźnych, tanich sukcesów.

PROBLEM CIASTKA Z KREMEM

Daleko jestem w tym artykule od osobistych aluzji, ale nie mogę się oprzeć wrażeniu, że opiewanie ciastek od Bliklego czy Gajewskiego, sentymentalne przerzucanie fatałaszków przeszłości, płaczliwe lub krzepkie — zależnie od nieumotywowanego artystycznie nastroju — naśladowanie romantycznego *autentyzmu*, kiedyś przez kogoś raz już i na zawsze przeżytego, nie spełnia nadziei wyrażonych powyżej w pięknym angielskim cytacie.

Niewątpliwie, jest coś z prawdy i tajemnicy wszechświata nawet i w ciastkach od Gajewskiego, ale — obawiam się — nie jest to najlepszy klucz do poetyckiej wizji (choć przyznaję ze skruchą: sam także kupowałem czasem ciastka u Gajewskiego, ach! łzy się kręcą . . .). Wspomnienie ma pewien walor artystyczny, ale tunelami wspomnień nie dochodzi się daleko; są sprawy w przeżyciach i natchnieniu, które trzeba *współcześnie* zmierzyć lub *przyszłością* przeczuć; a te sprawy są niełatwe, bolesne, skomplikowane i dla artysty samego niewdzięczne.

PRZESZŁOŚĆ "NOWOCZESNA"

Jeśli z tego punktu widzenia spojrzymy na poezję, zrozumiemy dlaczego współcześni krytycy angielscy znajdują elementy nadrealistyczne w poezji Shakespeare'a, Donne'a, Blake'a, Coleridge'a, Browning'a, a ostatnio w dziewiętnastowiecznych wierszach księdza jezuity G. M. Hopkinsa, którego kariera literacka przypomina dzieje sławy Donne'a.

Nie znaczy to wcale, żeby wszyscy wymienieni tu poeci *starali się* być "nowocześni"; "Nowoczesność" została im narzucona przez materiał poetycki, przez gatunek wizji, po prostu była to wewnętrzna konieczność, jak to słusznie zauważa T. S. Eliot, pisząc o zdumiewającej nowoczesności stylu szekspirowskiego.

Podobne zjawiska można śledzić w każdej literaturze. Dość wymienić Hölderlina z poezji niemieckiej, a Norwida i Słowackiego — z polskiej.

Tezy Norwida są zaprzeczeniem poezji skamandryckiej. Norwid rozumiał dlaczego nie to jest piękne co się podoba lub podobało, lecz to co się "*winno podobać*".

DWA TYPY POETÓW

Norwidowski poeta musi być samotnikiem. Skamandryta musi słuchać oklasków, musi być za wszelką cenę "na plakacie"; dlatego rzuca czytelnikowi na przynętę raz wierszyk patriotyczny, raz kabaretowy kawał, raz oburza się i obrzuca świat wyzwiskami, drugi raz pochlebia i wielbi możnych tego świata. Skamandryta lubi być w opozycji, ale w takiej łatwej opozycji, nieszkodliwej i bezpiecznej, jak jego wiersze. Nikt jeszcze od wierszy o ciastkach z kremem nie dostał zawrotu głowy, nigdy jeszcze poemat "na cześć" nie został policzony między niezrozumiałe ; takie utwory *w istocie swojej* "artystycznej" powinny być zrozumiałe, bo inaczej czytelnik by się zraził.

Poeci awangardowi w Polsce liczyli się zawsze z niepopularnością. O czytelnika nie zabiegali na tyle, żeby rezygnować ze swoich postulatów formalnych. A mimo to — rzecz zdumiewająca — grupa "*Skamandra*" jest grupą dla siebie, prawie całe młode utalentowane pokolenie poetyckie przejęło w stu procentach lub częściowo tezy artystyczne *Awangardy*.

BEZ MŁODYCH

Stało się podobnie jak w życiu politycznym. Ruch, który ofiarowywał wygodę, słowem łatwe życie — został przez młodych odrzucony. Skamander przypomina łudząco Sanację ; oba ruchy, dość z sobą sympatyzujące, "nie mają młodych". Idee literackie Skamandra (jeśli one w ogóle istnieją) umrą razem z wielbiącymi się wzajemnie członkami grupy. Można podziwiać ich lojalność wobec siebie, ruchliwość, tupet ; niestety panowie ci liczą już każdy przeciętnie po 50 lat. Czy chcą czy nie chcą, muszą pamiętać o pewnych nieustępliwych prawach biologii. Przykro mi, że muszę to pisać. Ale — sądzę — lepiej być szczerym i przypomnieć w porę.

Tak się złożyło, że grupa "*Skamandra*" znajduje się na emigracji w komplecie : poeci polskiej Awangardy są tutaj nieliczni (stąd ułatwione zadanie dla Wierzyńskiego).

AWANGARDA W POLSCE

Ponieważ czytelnik nasz, jeśli lubi poezję lubi czytać, nie studiować, trzeba mu przypomnieć niektóre nazwiska przedstawicieli nowoczesnej poezji w Polsce. A mianowicie, Tytus Czyżewski, St. Młodożeniec — futuryści ; Julian Przyboś, Jalu Kurek, Marian Czuchnowski — poeci krakowscy ; śp. Józef Czechowicz, bodaj czy nie najwybitniejszy poeta tego ruchu, Józef Łobodowski — poeci lubelscy; JerzyZagórski — z Wilna ; Stanisław Piętak — z Sandomierskiego ; Jan Brzękowski — znawca poezji francuskiej, autor teoretycznej pracy pt. "*Poezja integralna*" ; Jan B. Ożóg, J. A. Frasik — z krakowskiego ; St. Czernik, teoretyk tzw. autentyzmu i śp. Borsukiewicz — z poznańskiego ; Konstanty Dobrzyński — z Łodzi ; Cz. Janczarski — z Wołynia ; J. Stachowski i Alfred Łaszowski — teoretyk ruchu.

Ruch awangardowy rozwijał regionalizm ; ciekawe byłoby porównanie elementów regionalnych w metaforyce i rytmice poezji Czechowicza i Ożoga, Zagórskiego i Piętaka. Była to nieprzypadkowa realizacja zasady decentralizacji w kulturze. Regionalizm leży u podstaw kultury europejskiej — ci młodzi wyznawcy "czystej sztuki" byli prawdziwymi Europejczykami. Oni nie umieliby żyć i pisać w kołchozach natchnienia.

NAŚLADOWNICTWO CZY TEŻ POKREWIEŃSTWO

To prawda, że idee formalne polskich poetów nieawangardowych podobne były do idei francuskich, angielskich czy włoskich, tak samo jak idee *formalne* romantyków Mickiewicza i Słowackiego były spokrewnione z romantyzmem angielskim, niemieckim i francuskim. Nic w tym jednak nie ma z kopiowania i bezkrytycznego naśladownictwa (K. Wierzyński upraszcza zagadnienie, odżegnując się od "obcych wzorów") — tak jak "*Lenore*" Burgera to nie to samo jednak co "*Ucieczka*" Mickiewicza, a "*Beniowski*" Słowackiego nie to samo co "*Don Juan*" Byrona.

Skamandryci pozują na romantyków, lubują się w cytatach z Mickiewicza, powtarzają jego ulubione formy rytmiczne : zapominają jednak lub nie chcą pamiętać o silnych związkach autora "*Ballad i Romansów*" z Zachodem ; Mickiewicz jeszcze w Wilnie i Kownie był wcale dobrze zaznajomiony z ówczesnymi prądami literatury europejskiej (ze słownikiem przedzierał się przez poezję angielską ; o "anglomanii" Mickiewicza i Słowackiego stanowczo zbyt mało się mówi i pisze. . .) . Słowacki udowadnia każdym swoim utworem jak wielka istnieje wspólnota w kulturze europejskiej, jak bliski Europejczykowi z Krzemieńca jest Europejczyk Londynu i Paryża. (Słowacki był nawskroś "nowoczesny" także w swoich zainteresowaniach naukowych ; fascynowała go np. teoria ewolucji ; "*Genezis z Ducha*" pochlebnie świadczy o wszechstronnym wykształceniu poety.) Poeci awangardowi do tej wspólnoty tęsknili.

TRZY KANONY

Jakże podobne do koncepcji teoretyków krakowskich i warszawskich są niektóre kanony nowoczesnej poezji, ogłoszone w Anglii już w 1912 r. :

"1. *Direct treatment of the thing whether subjective or objective.*

"2. *to use absolutely no word that does not contribute to the presentation*

"3. *as regarding rhythms, to compose in the sequence of the musical phrase, not in sequence of a metronom.*"

Ten punkt ostatni wywołał największą rewolucję w formie i zdołał nawet oburzyć obojętnego konsumenta literatury. Związek nowoczesnej poezji z muzyką, tyle razy podkreślany, który wywodzi się od niebezpiecznego po części *zidentyfikowania* poezji z muzyką w koncepcji Mallarme, ojca europejskich ruchów awangardowych ("*Poesie, musique, c'est même chose*") powinien być przede wszystkim dostrzegalny w budowie samej utworu, we frazach rytmicznych, w odpływie i przypływie motywów treściowych (stąd eliminacja felietonowej "*pointe*'y", tak nadużywanej przez skamandrytów).

METAFORA — SYMBOL

Gdy chodzi o kondensację treści, nowoczesny wiersz broni się przed zalewem gadulstwa — (skamandryta odkręca kurek i "natchnienie" leje się ciurkiem) — metaforą ; metafora jest przy tym jednym z *najstarszych* i najlepszych środków poetyckich. Aby uniknąć werbalnych metafor, skrótów wymyślonych a nie przeżytych, poeci zgrupowani dokoła pisma "*Okolica Poetów*" (redaktor — poeta Czernik) przepracowywali teorię "*autentyzmu*", która w konsekwencji rozbudziła jeszcze silniej regionalizm w poezji polskiej.

Metafora jest dynamitem poezji. Dla Blake'a cały wszechświat był metaforą przedziwnej, transcendentalnej rzeczywistości — jak pisze słusznie angielski teoretyk symbolizmu. Można to zdanie rozszerzyć na wielu poetów awangardowych.

A więc : nowy symbolizm?

Tak : nowy,. a właściwie odwieczny — symbolizm. Poezja zawsze była i zawsze będzie symboliczna. Alegoria jest symbolem. Metafora jest symbolem, który wyraża przeczucia dziwnych związków między rzeczami znanymi i nieodgadłymi, między tym co *Tu* i tym co *Tam*. Słowo wreszcie jest *symbolem* rzeczy, obrazu lub pojęcia. Porozumiewamy się symbolami. Całe nasze życie — jeśli jest dorzeczne i rzeczywiste — to tylko dlatego, że ma znaczenie symbolu.

Metafora może być czasem trudna, ale radość przeżywania poezji nie może obyć się bez trudu. Kto wyznaje *poezję ułatwioną* nie rozumie w ogóle czym jest naprawdę poezja.

Jaki jest jednak związek między znaczeniem symbolu poetyckiego, a przyjemnością przeżywania poezji?

T. S. Eliot pisze w książce o Dantem : . . . "*that in good allegory, like Dante's, it is not necessary to understand the meaning first to enjoy the poetry, but that our enjoyment of the poetry makes us want to understand the meaning.*"

Jest to jedno z piękniejszych sformułowań o istocie oddziaływania poezji na człowieka.

POLSCE BRAK ŚREDNIOWIECZA

Tragedią literatury polskiej jest brak średniowiecza, to znaczy brak żywej i kultywowanej tradycji, do której możnaby się odwoływać. G. M. Hopkins oparł się w swojej pracy na wczesnej poezji anglo-saskiej (VIII–IX wiek), przebudował kontrukcję wiersza, użył alliteracji i stworzył w efekcie najbardziej "nowoczesne" wiersze. Tak samo T. S. Eliot stale nawiązuje w twórczości poetyckiej i krytyce do starej liryki angielskiej i do "szkoły metafizycznych poetów".

We Francji tradycje wielkiej liryki prowansalskiej są zawsze żywe.

W Polsce zabija poetę "potrzeba chwili," brak intelektualnej podbudowy, ciągły lęk przed straceniem czytelnika, a nade wszystko tragiczny brak Średniowiecza (szersze opracowanie tego tematu zastrzegam sobie na przyszłość). Elementy kultury ludowej, przepracowane już raz w Romantyźmie, mogą tę lukę choć częściowo wypełnić, szczególnie jeśli się zważy, że większość poetów awangardowych to ludzie pochodzenia *chłopskiego* (jako kontrast "*Skamander*" reprezentuje sfery burżuazyjno-żydowskie, lub zbankrutowane środowisko arystokratyczno-szlacheckie ; chłopów ani śladu). Chłop, twórca kultury regionalnej, indywidualista — czuje instynktowny związek z Zachodem ; nic więc dziwnego, że poeci pochodzenia chłopskiego z taką ochotą, żarliwością i ufnością przyswajali sobie nowoczesne prądy kultury europejskiej. Tę samą żarliwość miał szlachcic Kochanowski, szlachcic Mickiewicz oraz chłop Kasprowicz. Nie ma jej nie — szlachcic i nie — chłop Tuwim, który przejął się właściwie jedynie poezją rosyjską ("*Kwiaty polskie*", utwór wyjątkowo słaby, powinny się dla ścisłości nazywać "*Kwiatami rosyjskimi*"), może dlatego, że chodził do szkoły rosyjskiej, a w życiu kopiował Heinego, bo widział w nim te same kompleksy i skłonności co w sobie (żydowskość, trwoga, cynizm, sentymentalizm i nienawiść — obaj potrafią lepiej nienawidzieć niż kochać). O Heinem — nota bene jeszcze, przed Hitlerem — pisała krytyka niemiecka że odpowiedzialny był za spłycenie romantycznej liryki niemieckiej, za jej zbanalizowanie i zwulgaryzowanie.

GRANICE PANEGIRYZMU

Szkoda, że Wierzyński tych aspektów cywilizacyjnych nie poruszył, choć chęć wyrwania się z ideowego środowiska "*Skamandra*", coraz bardziej uwydatniająca się w drugim okresie jego twórczości, świadczyłaby za tym, że Wierzyński umie się zdobyć na krytycyzm surowy nawet wobec najbliższych (niestety ostatni panegiryk osłabia nasze nadzieje, a doszukiwanie się "*żarliwej polskości, szczerej i rzetelnej*" w wierszykach barda tangowego z "*Cyrulika Warszawskiego*", który nic ma nic wspólnego ani z cywilizacją szlachecką ani z chłopską — stawia akademika literatury w dość, musimy przyznać, osobliwej sytuacji ; są bowiem granice nawet w panegiryzmie, które — jeśli przekroczone — mogą dotknąć tych, co z polskością mają związek nie tylko przez "żarliwe" wiersze).

POEZJI GROZI SAMOBÓJSTWO

Żałuję, że nie mogę niniejszego artykułu poświęcić jedynie formie nowoczesnej poezji ; z konieczności muszę pisać także o krzewicielach poezji ułatwionej.

Reasumując, mam wrażenie, że "*Skamander*" — rzecznik poezji ułatwionej i życia ułatwionego, ponosi dużą odpowiedzialność wobec literatury polskiej za odsunięcie nas od Zachodu, a zbliżenie do Wschodu (trud intelektualny "*Młodej Polski*", tych prawdziwych Europejczyków z "*Życia*" i "*Chimery*", pozostanie jednak do użytku młodego pokolenia. Jest to kapitał duży i na mocnej walucie oparty).

Sowiecka poezja, także — "ułatwiona" zniżyła się do czytelnika, dała mu plakaty łatwe do zrozumienia ; tragiczna śmierć Błoka i Majakowskiego była protestem spóźnionym ; ambicje poetyckie uległy w walce z plakatami.

Nikt inny tylko czerwony poeta [1]) C. Day Lewis stawia pisarzowi dzisiejszemu palące pytanie :

"*Poetry was born from magic ; it grew up with religion, it lived through the age of reason, is it to die in the century of propaganda?*"

Odpowiadam : zachwalając "poezję ułatwioną", popełnia poeta intelektualne "samobójstwo".

Oczywiście nie twierdzę, że poezja awangardowa posiadła "kamień filozoficzny", nie twierdzę, że daje gotowe przepisy na tworzenie "arcydzieł" ; przekonany natomiast jestem, że zmierza ku temu samemu nieosiągalnemu — ale jakże pięknemu w swej nieosiągalności — celowi, ku takiej wieczystej poezji, która, wedle Romantyzmu, "*jako poezja uniwersalna stale podąża naprzód, ustawicznie się tworzy i nigdy nie może być zamknięta, ani w pojęciu swoim przez żadną teorię wyczerpana*".

JERZY PIETRKIEWICZ

---

[1]) K. Wierzyński stawia mnie w paradoksalnej sytuacji, gdy każe mi wierzyć, że poezja awangardowa stanowiła domenę lewicy. Część tylko awangardzistów polskich była "czerwona", i to znacznie mniejsza część w porównaniu ze składem redakcji "*Wiadomości Literackich*". Co się zaś tyczy zagranicy, nie sądzę, żeby Stefan George, T. S. Eliot, Paul Valery, Jean Cocteu czy Marinetti mogli Wierzyńskiemu posłużyć za najtrafniejsze przyłady, a są to niewątpliwie nazwiska wybitne i typowe. Przez oddanie nowoczesnej poezji na własność niepodzielną lewicy popełnił K. Wierzyński dużą symplifikację.

KSIĄŻKA

U.S. FOREIGN POLICY, by WALTER LIPPMANN.

POPRZEDZONA przedmową D. W. Brogana książka Lippmanna rozeszła się w Stanach Zjednoczonych w ilości półmiliona egzemplarzy. W trzech czwartych swoich argumentów jest ona skierowana na użytek wewnętrzny Stanów i bardzo zręcznie polemizuje z przywarami politycznymi, tkwiącymi głęboko we wszystkich narodach anglosaskich. Nie tylko bowiem w Ameryce kierunek izolacjonistów istniał i nie tylko Amerykanie czuli wstręt do zawierania przymierzy. Za czasów największego rozkwitu Imperium Brytyjskiego mężowie stanu królowej Wiktorii podobali sobie w "splendid isolation", oraz uprawiali zasadę wolnej ręki, czyli "no commitments".

Wynikało to z tego, że siłę swoją opierali na flocie, zainteresowania mieli handlowe i zamorskie, a na drodze swojej pokojowej ekspansji, czy to w Indiach, czy na Pacyfiku nie napotykali na żaden poważny opór. Bez niezaprzeczonej suwerenności floty angielskiej na morzach w ciągu XIX w. St. Zjednoczone nie miały możliwości rozwoju i bezpieczeństwa. Anglia zapewniła im te szczęśliwe warunki układem zawartym w 1823 r. między ministrem Canning'em a prezydentem Monroe, niedopuszczającym państw europejskich do mieszania się w sprawy Ameryki Południowej. Tak zwana doktryna Monroe tworzyła rodzaj rezerwatu ze świeżo wyzwolonych republik Ameryki Południowej i była równie wygodna dla obu mocarstw przedzielonych Atlantykiem. Nie ogłaszano jej zbyt krzykliwie, bo ludzie wprawni w robieniu dobrych interesów, wolą przemilczać swoje korzyści, ażeby je tym lepiej wyzyskać.

Ten stan rzeczy, jak słusznie pisze Lippmann nie mógł trwać zawsze i zmienił się koło roku 1900 z pojawieniem się w Europie nowego mocarstwa, a mianowicie Niemiec, które nasycone podbojem słabszych sąsiadów, sprawne i pracowite, zaczęły budować wielką flotę i tą flotą zagrażać przewadze angielskiej. Rozumowania Lippmanna są prawie ciągle oparte na logicznym i brutalnym realiźmie, ale ma on duży też dar przemilczania, albo łagodzenia faktów, które nie stosują się do jego budowy myślowej. Pisząc o równowadze sił w Europie, wzmiankuje mimochodem, że Wielka Brytania opierała się na zasadzie popierania mniejszych państw przeciwko najsilniejszemu, ażeby temu ostatniemu uniemożliwić zaszachowanie jej po za kontynentem europejskim (str. 71).

Zasadę tę Wielka Brytania wprowadzała, w czyn, ale nie zawsze w odpowiedniej chwili a też ograniczała ją uprzedzeniami. Bywały też okresy, kiedy jej politycy rządzili się raczej uprzedzeniem, jak przewidywaniem. Np. odziedziczona z XVIII w. i wojen napoleońskich, niechęć do Francji i Hiszpanii przyćmiewała ich czujność na wzrastającą potęgę Prus, powiedzieć nawet można, że bez obojętności (aloofness) Anglii, Prusy nie wygrałyby ani bitwy pod Sadową, ani bitwy pod Sedanem, nie zjednoczyłyby Niemiec pod swoim panowaniem i nie wyrosły na tę potęgę, którą dwie światowe wojny z trudem starają się pokonać. Nawet po Traktacie Wersalskim pewne sympatie, czy uprzedzenia pracowały dalej na korzyść Niemiec i ogromne pożyczki amerykańskie nie mało przyczyniły się do odbudowy ich militaryzmu. Co do tej równowagi sił w Europie logika wydarzeń nie jest tak prosta, jakby się wydawało.

Podobnie Lippmann zbyt upraszcza zawiłą, a nawet ponurą politykę dwudziestolecia po pokoju wersalskim krytykując fałszywy wedle niego idealizm prezydenta Wilsona i wszystkie hasła, które służyły do strofowania i moralizowania Europy, dlatego, że Anglia i Ameryka były zmęczone wojną, przekonane, że się nie powtórzy i pełne nadziei, że handel i dobrobyt zakwitną jak nigdy przed tym. Owe pokojowe hasła jak Pokój, Rozbrojenie, Wzajemne bezpieczeństwo, Niechęć do sojuszów służą za krótkie tytuły w książce Lippmanna

"Wilson—pisze autor—łączył pojęcie wzajemnego bezpieczeństwa z antypatią do sojuszów. Ta zasada odegrała bardzo ważką rolę w poróżnieniu Amerykanów z Brytyjczykami i Francuzami. Ci ostatni spostrzegli odrazu będąc bliższymi rzeczywistości europejskiej, że Liga Narodów może utrzymać pokój o ile jest wsparta przez silne państwa. Z tego powodu Francuzi szukali sojuszników w Europie, widząc jasno, że sojusz z Anglią się rozluźnia, ale tym zrażali sobie Brytyjczyków i wpędzili ich w popieranie Niemców oraz bunt Niemców przeciwko zaciągniętym zobowiązaniom" (str. 47).

Jeszcze dosadniej krytykuje Lippmann pacyfizm i zasadę rozbrojenia : "Bezinteresowna i idealistyczna teoria o rozbrojeniu polegała na tym, że jeżeli każde państwo będzie miało mniej broni, to i możliwość wojen się zmniejszy. Wielkie okręty wojenne oznaczały duże wojny. Mniejsze, mniejsze wojny ; brak okrętów mógł oznaczać brak wojen. Tego rodzaju teoria da się zastosować, o ile to możliwe, tylko do Tybetu, który nie ma stosunków zagranicznych i nie może być zawojowany, bo nie warto go podbijać" (str. 34).

Lippmann dodaje, że ten stan umysłów dlatego był możliwy w St. Zjednoczonych, że jego obywatele cieszyli się zbyt długim bezpieczeństwem i leniwym używaniem wielkiego dorobku zgromadzonego ciężką pracą poprzednich pokoleń. Oburza go myśl, że rozbrojeniowe hasła wzmocniły tylko Japonię. Z punktu widzenia europejskiego można twierdzić, że Pearl Harbour był klęską dla miłości własnej amerykańskiej, ale klęską o tyle szczęśliwą, że wywołała potężną reakcję. Wycofanie się zaś St. Zjednoczonych z Europy po pokoju Wersalskim i obsesje rozbrojenia, naraziły Francję, Holandię, Belgię, Danię, Norwegię, Polskę, Czechy, Grecję, Jugosławię na nieszczęścia, które nie dadzą się powetować przez parę pokoleń.

Środki zaradcze, przez Lippmanna proponowane budzą duże zastrzeżenia i wydają się zbyt proste i zbyt radykalne. Jego teza o "braku bezpieczeństwa" St. Zjednoczonych i Ameryki Południowej jest może słuszna jako argument przeciwko izolacjonistom, ale nie może zadowolić ludzi, których współbracia są mordowani tysiącami i wywożeni setkami tysięcy.

Wedle Lippmanna Ameryka Północna i Południowa to dwie "biedne wyspy" nie ochronione przez żadne morze, ponieważ

z Islandii i Grenlandii można atakować lotniska Kanady, a z afrykańskiego Dakaru przerzucić się do Brazylii. Co prawda Pearl Harbour odegrało rolę buforu, ale Japończycy mogliby uderzyć bliżej na jeden z portów kalifornijskich. Ta obawa, w połączeniu ze zrozumieniem własnego interesu każe Lippmannowi wierzyć tylko w silne sojusze. W polityce światowej zaczyna on zarysowywać stan rzeczy, którego początki sięgają pełnego przeobrażeń XVIII wieku ,wówczas to bowiem, w okresie rewolucji francuskiej i rozbiorów Polski zaczęły rosnąć i rozszerzać się trzy Imperia: Brytyjskie, Amerykańskie i Rosyjskie. One panują dziś nad Północną półkulą i jej lotniczymi drogami przyszłości przez Alaskę, Kanadę ,Grenlandię ,Islandię. W zależności od atlantyckich wybrzeży znajdują się te pomniejsze narody, które przyczyniły się do kolonizacji Nowego Świata amerykańskiego, jak Skandynawia, Holandia, Francja i Hiszpania. Ich wybrzeża, to bazy lotnicze, więc albo dzielą niebezpieczeństwa "wysp" amerykańskich, albo mogą się cieszyć ich opieką.

Niemcy, raz pobite, już nie porwą się znowu do sojuszu z Japonią i panowania nad światem, a co do Rosji, to Lippmann zapewnia, że od powstania St. Zjednoczonych, wbrew różnicy ustrojów, interesy amerykańskie dawały się zawsze uzgodnić z rosyjskimi i nawzajem, na dowód czego dodaje, że w czasie powstania polskiego 1863 r. interwencja Francji i Anglii na rzecz Polski została zaszachowana sprzeciwem St. Zjednoczonych, przypomina też w porę i skwapliwie z jaką opieszałością St. Zjednoczone uznały niezależność Państw Bałtyckich.

Co do Azji i przyszłego rozwoju Chin popada autor w znaną i dowolną mglistość. U końca zaś swojej książki zatrzymuje się przed ostateczną konkluzją, a raczej przypomina sobie, że to co stanowi podstawę egzystencji zarówno Imperium Brytyjskiego, jak St. Zjednoczonych wynikało zawsze z poszanowania prawa i miłości wolności, zaznacza, że w chwili śmiertelnego niebezpieczeństwa, t.j. w 1940 r. Anglia uszanowała niezależność i neutralność małej i zupełnie ne jej łaskę zdanej Irlandii.

Sojusz wielkich państw, dodaje Lippmann, jest z pewnością zabezpieczeniem pokoju, ale co się stanie, jeśli się zaczną targować o skrawki wpływów. Gdzie znaleźć w Europie tę linię gdzie dwa imperializmy będą ze sobą bezpiecznie graniczyły? Jeżeli n.p. Skandynawia dostanie się pod wpływy rosyjskie, to Wielka Brytania będzie zagrożona, a jeżeli pod angielskie, to morskie i powietrzne granice Rosji znajdą się w niebezpieczeństwie.

"Niezłomna logika takiego przymierza Wielkich Mocarstw, pisze Lippmann, wymaga aby uznały wolność innych narodów nieobjętych przymierzem. Inaczej zamienią się w rywali i wrogów, walcząc o panowanie nad innymi narodami. I tylko tworząc wszechświatowy ustrój wolności i prawa, potrafią one zdobyć zaufanie i poparcie reszty świata dla swego przymierza".

Szkoda tylko, że ustępy o prawie i wolności są dopisane do końca książki, jak szczęśliwe zakończenie amerykańskiego filmu. Treść poprzedzających rozdziałów zbliża raczej Lippmanna do ideologii państw totalitarnych. Obok książki prof. Carr'a, jest to druga z rzędu wyrażająca ducha nowej epoki, żelaza, machiny i siły, gdzie humanista, prosty człowiek i słabe państwo nie będą miały prawa głosu.

JAN RAJECKI

Listy do Redakcji

Z PROBLEMÓW MŁODZIEŻY W WOJSKU

Szanowny Panie Redaktorze,

Od r. 1939 byłem żołnierzem Polskich Sił Powietrznych. W r. 1941 zostałem uznany przez komisję lekarską za niezdolnego do pełnienia służby w powietrzu. Ano trudno. Trzeba było pogodzić się z losem. Zacząłem się uczyć do matury.

W r. 1942 zdałem maturę wydz. mat.-przyr. z zamiarem rozpoczęcia następnie wyższych studiów technicznych. Złożyłem podanie do Polskiej Szkoły Architektury w Liverpool. Pól roku czekałem na odpowiedź bezskutecznie. Postanowiłem interweniować w Inspektoracie. Podanie swoje odnalazłem wśród wielu innych odmownie załatwionych. Powodem odrzucenia miało być, jakoby Szkoła Architektury w Liverpool przyjmowała tylko byłych studentów politechnik polskich.

W ten sposób pożegnałem się ze studiami. Postanowiłem wybrać drugą alternatywę : kształcić się w jakiejś specjalności wojskowej. Złożyłem podanie do inspektoratu z prośbą o dopuszczenie mnie do egzaminów wstępnych do Signals Officers School. Przez trzy pełne miesiące, wyzyskując każdą wolną od służby godzinę i pracując po nocach, uczyłem się elektryczności, radio-techniki i technicznej terminologii angielskiej. Nadmierna praca umysłowa w godzinach pozasłużbowych pozostawiła nieuniknione ślady na mym zdrowiu. Wreszcie zostałem wezwany do Londynu. Egzamin zdałem z wynikiem pomyślnym, w konsekwencji czego zamiast do Signals Officers School zostałem wysłany do Podchorążówki Piechoty.

Wyczerpanie fizyczne z jednej i pewne różnice poglądów z drugiej strony sprawiły, że Szkołę Podchorążych Piechoty ukończyłem z wynikiem tylko dostatecznym. Należałoby się spodziewać, że o przyjęciu do szkoły o charakterze technicznym jaką jest w zasadzie Signals Officers School będą decydować wyniki egzaminu z radiotechniki i opinie rzeczoznawców technicznych. Stało się inaczej. Zostałem wykreślony z listy kandydatów Signals Officers School na podstawie słabego jakoby wyniku w Podchorążówce Piechoty.

W ten sposób znalazłem się w dość specyficznej sytuacji. Zdając egzamin dojrzałości, wytknąłem sobie drogę i uzyskałem prawo do wyższych studiów. W praktyce jednak zostałem prawa tego pozbawiony. Kończąc Szkołę Podchorążych Piechoty w stopniu plut. podch. uzyskałem prawo do stopni oficerskich. Przez odmowę jednak dopuszczenia mnie do Signals Officers School i tego prawa w praktyce mnie pozbawiono.

Ponieważ w podobnej sytuacji bez wyjścia znajdują się setki moich kolegów, ludzi ambitnych i żądnych wiedzy, ludzi, którzy rozumieją, że kształcąc się w kierunku technicznym budują potęgę naszego kraju, ponieważ ludzie ci walczą o uzyskanie prawa do kształcenia się od szeregu lat bezskutecznie, postanowiłem zwrócić się do Redakcji "Myśli Polskiej" z prośbą o poparcie naszej sprawy na łamach pisma Panów.

Z poważaniem

Z.C.

Od Redakcji : W sprawie tej mogliśmy : wysłać ten list do odpowiednich władz wojskowych ; ogłosić artykuł na temat kształcenia młodzieży wojskowej ; ogłosić ten list. Wybraliśmy to trzecie, gdyż w ten sposób list przeczyta nie tylko referent, rzeczowo zaś lepiej ogłosić list z konkretną sprawą, niż artykuł, z którym wszyscy się będą zgadzać w teorii, w praktyce zaś nadal maszyna biurokratyczna będzie się wolno i majestatycznie kręcić bez zbytniego zwracania uwagi na potrzeby życia. Tymczasem jest konkretna sprawa, w której świetle ukazuje się problem.

Ogłaszamy ten list także dlatego, iż wydaje się nam, iż nie znajdzie się może już referent, który zamiast zająć się sprawą, zacznie gromadzić stosy zapisków i meldunków na temat, jak to jeszcze jeden z podchorążych ominął drogę służbową. Droga służbowa jest ważna, ale problem poruszony, i nawet konkretna sprawa, jeszcze ważniejsze. Może Podchorąży Z.C. się mylić, gdyż nikt nie jest władny do oceniania samego siebie, ale też mogą się mylić jego oceniciele. Dla dobra służby lepiej zawsze omyłkę naprawić. W razie potrzeby służymy — dla zaoszczędzenia trudu — nazwiskiem i adresem, w nadziei jednakże, że dane te nie posłużą do "victimisation", lecz do załatwienia samej sprawy.

REDAKCJA

KSIĄŻKI I BROSZURY OTRZYMANE

OD REDAKCJI : Recenzje z książek i innych wydawnictw ukazywać się będą stale w miarę miejsca w naszym wydawnictwie.

Pius XI Papież : ENCYKLIKA O MAŁŻEŃSTWIE CHRZEŚCIJANSKIM (Casti Connobii). Z łacińskiego oryginału przełożył, wstępem i uwagami zaopatrzył X. Stanisław Bełch. Londyn, 1943, Skład główny : F. Mildner and Sons, Herbal Hill, London, E.C.1. Str. 71, cena 3;-.

Henryk Górecki : PRZESZŁOŚĆ I PRZYSZŁOŚĆ POLSKIEJ KOMUNIKACJI LOTNICZEJ, Londyn 1943, Wydano staraniem "Zrzeszenia Pracowników Polskiego Lotnictwa Komunikacyjnego w Wielkiej Brytanii". 1 mapa, 8 tabel, 55 str.

Jerzy Pietrkiewicz : UMARLI NIE SĄ BEZBRONNI — Opowiadania z życia pod okupacją niemiecką, 1943. Książnica Polska, 242 Hope Street, Glasgow, Szkocja. Okładkę wykonał Józef Sękalski, str. 141, cena 3/6.

Mieczysław Lisiewicz : KRONIKI NAROCZAŃSKIE, Wydawnictwo jak wyżej, Glasgow, 1943, w tekście fotografie, str. 219, cena 7/6.

Dr. W. Wielhorski : THE IMPORTANCE OF THE POLISH EASTERN PROVINCES FOR THE POLISH REPUBLIC, translated by J. Sapieha, 4 maps and 8 illustrations, Wydawnictwo jak wyżej, Glasgow 1943, str. 35, cena 1;-.

Dr. J. Weyers : POLAND AND RUSSIA, foreword by Major Guy Lloyd, D.S.O., M.P., London 1943, str. 64, cena 2/6.

Robert Machray : EAST PRUSSIA — Menace to Poland and Peace, London, George Allen & Unwin, LTD., mapy i wykresy, str. 112.

Dr. Vladimir Clementis : THE CZECHOSLOVAK MAGYAR RELATIONSHIP, issued by THE CENTRAL EUROPEAN OBSERVER-, str. 78.

BULLETIN OF THE POLISH INSTITUTE, OF ARTS AND SCIENCES IN AMERICA, Vol. I, No. 4, July 1943, 37 East 36th Street, New York C., str. 1063.

Antoni Gronowicz : CHOPIN, Rendered in English by Jessie McEwen, drawings by George Avison, THOMAS NELSON AND SONS, New York, 1943, str. 202, cena $2.50.

Witold Ipohorski-Lenkiewicz : MINISTER Z PAŁACU BRUHLA — U źródeł drugiej wojny światowej, Buenos Aires, 1943, Nakładem Codz. Niezależnego Kuriera Polskiego w Argentynie, str. 217.

TREŚĆ Nr. 57 "Myśli Polskiej" :

MYŚL POLSKA

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.
Redakcja i Administracja :
24, Wellington Road, St. John's Wood, London, N.W.8. Tel. PRImrose 4350.
Prenumerata kwartalnie (6 numerów) : 6/- lub $2.
Prenumerata półrocznie (12 numerów) : 12;- lub $4.

Printed for "Myśl Polska" by F. Mildner & Sons, Herbal Hill, Clerkenwell Road, London, E.C.1, November 15, 1943.